Nr. 42 (1190). Warszawa, dnia 4 (17) Października 1903 r. Rok XXIII.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Adres: Sadowa Nr. 14.**

**Redaktor** przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.





## POLITYKA.

### Na równą drogę.

Przed polityczną myślą francuską, w dziedzinie urządzeń politycznych zaczyna przebłyskiwać nadzieja, że nareszcie skończy się całowiekowe błądzenie po manowcach, wądołach i błotach dotychczasowego ustosunkowania Kościoła do państwa. Jak wiadomo, wzajemnymi stosunkami dwu tych potęg we Francyi rządzi od stu lat napoleoński konkordat z roku 1801. Bonaparte, przywracając po rewolucyi „porządek," — ściśle zespolił kościół z państwem, aby mieć z niego sługę absolutyzmu. Nie wydając hasła Chamborda „tron i ołtarz" — przyszły cesarz rzecz samą przecież w konkordacie z Piusem VII najzupełniej przeprowadził. Państwo wzięło kościół katolicki we Francyi na swój etat, ale go też wzięło w swe pazury. Właściwie władza wykonawcza miała sobie pozostawiony zupełnie wybór biskupów, tak, że papiezka prekonizacya była raczej formalnością, niż prawem. A nad każdym biskupem, gdy go już z pomiędzy najuleglejszych wybrano, stawała w razie najmniejszego oporu lub uporu w sprawach potrącających o politykę — rada stanu ze swoją formułą *comme d'abus* — i mogła go nawet z katedry usunąć. Duchowieństwo parafialne na równi z episkopalnem wystawione było na pozbawienie części lub całości *pensyi*, pobieranej ze skarbu, tak jak gdyby ksiądz był urzędnikiem państwowym. Proboszczem rządził prefekt, biskupem — pierwszy konsul, później — jego metamorfoza, cesarz.

Urządzenie wzajemnych stosunków, lekko zmienione przez restauracyę na korzyść duchowieństwa, głównie zakonnego, przetrwało rzeczpospolitą cezarańską, przetrwało drugi cezaryzm, — doczekało się trzeciej rzeczypospolitej — i w niej od lat już przeszło trzydziestu utrzymuje się mimo licznych i częstych ataków myśliwoli demokratycznej, która, jako rzetelna spadkobierczyni Wielkiej Rewolucyi, czuła, że pod konkordatem dłużej żyć niepodobna w zgodzie z republikańskiem prawem i politycznym rozumem. Od lat przynajmniej dwudziestu rokrocznie zjawiał się w sejmie wniosek o odwołanie posła z Watykanu, o zniesieniu budżetu wyznań, o zerwanie lub wymówienie konkordatu. Większość zwykle przegłosowywała postępowców, radykalnych demokratów i niedowiarków — i na tem kończył się coroczny obrządek. W tym roku, a raczej w bieżącym okresie posiedzeń sejmowych, stało się inaczej: odrzucając dwa główne żądania, nie odepchnięto ducha, który je do sejmu wniósł. Wybrano komisyę i polecono jej opracować projekt nowej organizacyi, w którejby już państwo zupełnie ze związku konstytucyjnego z kościołem wyzwolone, znalazło się wobec niego w takim samym majestacie prawa jak wobec każdego stowarzyszenia, zespolenia, każdej osoby moralnej i prawnej w społeczeństwie żyjącej.

Nareszcie zaczęto wychodzić na równą drogę, na ten tor jedynej prawności, swoistej dla rzeczypospolitej demokratycznej, która przecież nie może kwestyi dobrego zbawienia dusz po za ziemią, wtapiać w kwestyę dobrego rządzenia ludźmi na ziemi. Nareszcie myśl polityczna Francuzów XX w. poszła śladem Amerykanów, którzy w XVIII w. już jednocześnie z pracami zgromadzeń prawodawczego i konstytucyjnego we Francyi, przeprowadzili u siebie najdoskonalszy rozdział kościoła z państwem, posuwając naczelną zasadę, aż do wzbronienia wszechwładnemu kongresowi czynienia wszelkich urządzeń, uprawniania wszelkich wpływów wyznaniowych. Wprowadzenie takiego artykułu do konstytucyi trzeciej rzeczypospolitej francuskiej z lat 1875 i 6 będzie również koniecznem we Francyi, jak pożytecznem okazało się w wielkiej rzeczypospolitej amerykańskiej. Ale niech pierwej wejdzie w życie, w prawo to, co z prac owej komisyi zaczyna już na zewnątrz przenikać. Dzienniki paryskie ogłaszają teraz, skromnie przez sprawozdawcę jej, p. Briand, przedprojektem, rzutem dopiero projektu (*avant-projet*) nazwaną całość urządzeń prawnych, mających obowiązywać na przyszłość. Całość ta wygląda dość składnie, a chociaż niejednej jeszcze wymaga poprawki, niejednego uzupełnienia — za podstawę wszakże do rozpraw, nawet najpoważniejszych, z pożytkiem służyć może.

Państwo według projektu Brianda — przestaje żywić kościoły, istniejące we Francyi, przez utrzymywanie duchowieństwa, które kościołami temi włada. Każde wyznanie dbać musi o siebie, jeśli chce istnieć. Na przyszłość znika wszelka asysta, wszelki uroczysty udział tego lub owego wyznania w czynach i obchodach państwowych: *l'ètat est athée.* Dozór rady stanu ustaje, duchowieństwo bezpośrednio czuje nad sobą samo tylko prawo karne, i to tylko za czyny ogólne, karygodne. Używanie kościoła dla polityki wzbronione. Nabożeństwo doznaje opieki; zakłócać go nie wolno. Państwo wydaje kościołom wszelkie zapisy na instytucye wyznaniowe, a zabiera z powrotem fundusze, które z jego własnego skarbu do kościołów weszły. Stowarzyszenia świeckie wiernych danego wy-

znania będą posiadaczami wszelkiego mienia kościelnego w dyecezyi, okręgu, parafii lub instytucyi. Od 46-go roku życia duchowny parafialny otrzymywać będzie zapomogę, nizko oznaczoną, ale dowodzącą troskliwości państwa o to, żeby ksiądz czy kapłan nie cierpiał niedostatku. Tę troskliwość właśnie, wprowadzoną do organizacyi, uważamy za błąd. Lepiej z owych funduszów państwowych, zabieranych napowrót, wytworzyć kapitał renty wieczystej i oddać go na przepadłe, niż nową zależnością kazić stosunek przeznaczony właśnie do urzeczywistnienia wzajemnej niepodległości. Taki jest główny zrąb projektu.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Daleki Wschód ożywia się. Admirał Aleksiejew po zgromadzeniu eskadr w ogromną flotę ze stu prawie okrętów i odbyciu jej przeglądu dokonał wielkiej rewii wojska lądowego w sile 40,000 ludzi. Wrażenie obu demonstracyj ogromne. Jednocześnie podjęto w Port Arthur prace organizacyjne i powierzono je umyślnej komisyi. Stosunki z Japonią naprężone, ale oba mocarstwa trzymają się ściśle drogi dyplomatycznej i na niej dążą do porozumienia się — najprawdopodobniej kosztem Chin i Korei. Japończycy stanęli już na początku b. m. w swoim porcie Fusan, zjawili się później i w Mo-san-pho. Według depeszy z d. 12 b. m. flota rosyjska z zapieczętowanymi rozkazami wypłynęła na zewnętrzne morze Żółte. Przewidują równoczesne zajęcie punktów nadmorskich przez jednę i przez drugą stronę. Termin wykonania umowy o Mandżuryę upłynął d. 8 października. *Now. Wremia* wręcz mówi, że gdy Chiny nie spełniły warunków głównego zobowiązania, przestaje ono ciążyć na Rosyi. Japonii zaprzeczają dzienniki petersburskie całkiem prawa mieszania się nietylko do Mandżuryi, ale i do Korei, jakoby wyłącznie pod prawem Chin zostającej, chociaż traktat w Szymonoseki wyraźnie z pod prawa tego ją wyzwolił. Anglia milczy, bo nie myśli dotrzymać traktatu z Japonią, a dla Europy sprawy Dalekiego Wschodu nie są europejskiemi. Przed zimą jeszcze przewidywać można ważne wypadki.

Na Węgrzech jeszcze zawierucha. Król wezwał Schella, zjednał go sobie jednak tylko na pośrednika przy wytwarzaniu gabinetu. Do tej roboty znowu upatrzony był Andrassy, potem Tisza, wreszcie otrzymali wezwanie nieśmiertelny Khuen i niemiły Lukacs. W kraju zwolna rozkład władzy: nawet burmistrze odmawiają ściągania podatków; skarb zaczyna świecić pustkami, żołnierze wyłamują się z pod karności, nie chcą służyć po trzechleciu, zbierają składki na wieńce dla Kossutha ojca, razem z tłumami ulicznymi demonstrują przeciwko rządowi. Naród podminowany do wybuchu, a jedna jeszcze nierozwaga, jak w Chłopach, może wybuch sprowadzić. Nawet stronnictwo liberalne, niedomagające się komendy węgierskiej, staje okoniem: chce wyraźnego ograniczenia praw króla w organizacyi wojska. Żadne ministeryum nie da się zbudować, dopóki Węgrzy nie otrzymają dla wojska swego ustępstw, któreby ich zupełnie uspokoiły. Czas leci i za parę miesięcy jedyny ratunek może już być w abdykacyi Franciszka Józefa, i to jeszcze pod warunkiem, że jego następca ulegnie Węgrom.

Sejm galicyjski po kilkodniowych posiedzeniach Rady państwa nanowo podjął rozpoczęte d. 14 z. m. obrady. Są one nadzwyczaj burzliwe. Rusini zwalczają już z zasady każdy projekt trwalszego porządku dlatego tylko, że jest polskim. W sprawie szkolnej sprawozdawcy znowu cisnęli sejmowi w oczy hańbę 2,000 gmin bez szkół, a przytem brak nauczycieli i brak seminaryów.

Królestwo włoscy przyjechali d. 14 b. m. do Paryża.

Dopiero d. 5 b. m. ogłoszono listę nowych ministrów angielskich.

Król Piotr zagaił d. 7 b. m. skupczynę po zbudowaniu sobie nowego gabinetu pod Gruiczem.

Telegram przyniósł wiadomość, że arcybiskup gnieźnieński ks. Stablewski wydał rozporządzenie, nakazujące alumnom seminaryum duchownego w Poznaniu zapisanie się na kursa historyi i literatury niemieckiej w nowej akademii. W istnienie aż takiego przymusu, jak groźba zamknięcia seminaryum, którym usiłują usprawiedliwić rozporządzenia tego najwyższego dostojnika — uwierzyć trudno.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

## LISTY GALICYJSKIE.

Sprawozdanie komisyi szkolnej.— Obecny stan szkolnictwa. — Czarna księga szkolnictwa galicyjskiego — Stańczycy a szkolnictwo.

Komisya szkolna przedłożyła sejmowi sprawozdanie ze stanu szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich w latach 1901—1902, sporządzone na podstawie wykazów krajowej rady szkolnej. Sprawozdanie to, jakkolwiek daje cyfry mało pocieszające, jeśli je zestawimy z takiemiż cyframi Czech albo Śląska, stara się pomimo to wysnuć wnioski dość optymistyczne. Podnosi ono przedewszystkiem fakt, że liczba dzieci, uczęszczających do szkół, znacznie wzrosła w obu latach sprawozdawczych. W porównaniu z r. 1899—1900 w roku 1900—1901 dzieci w wieku lat 6—12 uczyło się w szkołach publicznych o 3,8% więcej, a w następnym o 4,18, niż w roku poprzednim. Liczba dzieci w wieku szkolnym, niechodzących do szkół, maleje w r. 1900—1901 — o 1%, w roku 1901—1902 o 1,5%. Taki sam postęp daje się zaznaczyć co do dzieci od 13 do 15 roku życia. Ten postęp jednak jest bardzo słaby wobec olbrzymich zaległości na polu szkolnictwa ludowego. Jakkolwiek bowiem cyfra analfabetów spadła w Galicyi od r. 1880—1900 z 77 do 56%, to jednak w r. 1900 wciąż jeszcze było 3,387,378 analfabetów ponad 6 lat wieku. Jeśli nawet odciągniemy z tej sumy osoby starsze, niż 38 lat wieku, a więc takie, które nie korzystały z owoców działalności krajowej rady szkolnej, założonej w r. 1866, to i tak liczba analfabetów jest olbrzymia.

Stan szkolnictwa ludowego w r. 1900—1901 przedstawiał się następująco: Szkół publicznych było 4,323, tj. o 43 więcej, niż w roku poprzednim. Tą liczbą objęte są też szkoły nieczynne. Tych ostatnich było 319, tj. o 22 mniej, niż w roku poprzednim; czynnych o 65 więcej, niż w r. poprzednim. Rok 1901—1902 wykazuje dalszy postęp w tym kierunku. Ogółem szkół publicznych jest obecnie 4,398, a przeto o 75 więcej, niż w r. 1900—1901. Z tej liczby było czynnych 4,106, to jest o 102 więcej, niż w roku poprzednim, nieczynnych zaś 292, czyli o 27 mniej. Ogółem przeto w obu latach sprawozdawczych przybyło 108 nowych szkół, liczba zaś klas czynnych wzrosła w tych dwóch latach o 553. Pomimo to jednak jest jeszcze 1,062 gmin, nieposiadających żadnej szkoły. W różnych powiatach widzimy rozmaity stosunek liczby szkół do liczby gmin. Tak w powiecie Bobreckim, zamieszkanym głównie przez ludność rusińską, tylko jedna gmina nie posiada szkoły. Natomiast w takim powiecie Tarnowskim (czysto polskim), składającym się z 59 gmin, niema szkół aż w 50 gminach.

Liczba i jakość sił nauczycielskich stale wzrasta. W ciągu dwóch lat ostatnich przybyło ich 835, a o 151 zmniejszyła się liczba niewykwalifikowanych. Nauczycielek jest 4,412, nauczycieli 4,375. Komisya szkolna podnosi potrzebę zakładania nowych seminaryów nauczycielskich, gdyż istniejące nie produkują dostatecznej liczby sił pedagogicznych. Tem się tłomaczy tak wielka ilość niewykwalifikowanych. Tymczasem dopiero w roku bieżącym przystąpiono do założenia seminaryum w Starym Sączu. Komisya przypomina więc potrzebę założenia seminaryum męzkiego w Białej, oraz jednego żeńskiego we wschodniej części kraju.

Wspaniałym komentarzem do przedłożonego sejmowi sprawozdania jest świeżo wydana we Lwowie monografia p. Światłomira p. t. „Ciemnota Galicyi w świetle cyfr i faktów, 1772—1902. Czarna księga szkolnictwa galicyjskiego.“ Z pomiędzy wszystkich dotychczasowych krytyk szkolnictwa w Galicyi dziełko p. Światłomira wyróżnia się najkompetentniejszym doborem argumentów i danych, przyczem stanowi ono nieocenione źródło informacyj ze względu na szerokie traktowanie przedmiotu na tle historyczno-politycznem. Całą pracę przenika duch gorliwości prawdziwie obywatelskiej.

Ze względu na doniosłość i aktualność tego dzieła, uważam za stosowne zapoznać z jego treścią czytelników *Prawdy*.

Galicya nie miała nigdy szczęścia do oświaty. Przed rozbiorem Polski szkolnictwo galicyjskie stało gorzej, aniżeli w Wielkopolsce lub na Mazowszu. Po za Krakowem i Lwowem reszta kraju tonęła w mrokach ciemnoty. Ruch, zmierzający ku polepszeniu wychowania, jaki nastał po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej, nie wywarł wielkiego wpływu na Galicyę, gdyż ta dostała się pod panowanie Austryi jeszcze przed ustanowieniem Komisyi edukacyjnej. Nowy rząd niezbyt dbał o oświatę, wskutek czego między r. 1773 a 1800 do sześciu istniejących przybyła zaledwie jedna szkoła średnia. Przeciwnym oświacie rząd austryacki jednak nie był i zachęcał szlachtę oraz księży do zakładania szkół elementarnych, a rozporządzeniem z d. 20 października 1781 r. nakazał bez świadectwa szkolnego nie przyjmować dzieci ani do służby, ani do rzemiosła. Wychodziły rozporządzenia, aby po wsiach były szkoły, lecz szlachta twierdziła, że tworzyłyby one tylko malkontentów i pokątnych procesowiczów, a ponieważ szlachta była w zażyłości z komisarzami i starostami cyrkularnymi, przeto rozporządzenia te nie weszły w życie. Rząd skąpił funduszów na cele szkolnictwa miejskiego, szlachta zaś i duchowieństwo nie troszczyły się wcale o szkolnictwo wiejskie, to też w latach 1773—1840 powstało w Galicyi zaledwie 6 szkół średnich i 43 ludowe główne oprócz pewnej liczby szkół parafialnych, zimowych, w których uczyli przeważnie organiści, dyacy, włościanie itd. Stan tych ostatnich uczelni był tak opłakany, że nie wciągano ich nawet do wykazów statystycznych.

Pierwsze obliczenia galicyjskich szkół ludowych znajdujemy w statystyce austryackiej dopiero w r. 1841. Naliczono ich wówczas ogółem 1,946, nauczycieli 736, a pomocników 1,409. Do szkół tych uczęszczało 70,135 dzieci. Wprawdzie pod wpływem prądu demokratycznego, który w latach 1840—1850 wiał z Niemiec i Francyi, lepsze jednostki z pośród szlachty galicyjskiej, łącząc się z ruchem młodzieży mieszczańskiej, poczęły zajmować się szczerzej sprawą wychowania ludu, ale usiłowania te nie miały poważniejszego znaczenia. W ciągu 12 lat — od r. 1846 do 1857 liczba szkół ludowych *zmniejszyła* się o 90.

Kiedy sejm objął pieczę nad potrzebami kraju (1861), można się było spodziewać, że odrazu zabierze się do podniesienia oświaty ludu. Niestety, minęło pięć lat, zanim sejm uchwalił nareszcie statut Rady szkolnej krajowej. Nadomiar złego wskutek taktycznego błędu sejmu Galicya otrzymała Radę szkolną nie na mocy ustawy krajowej, lecz jedynie w drodze rozporządzenia cesarskiego, które w każdej chwili może być zniesione.

Ustanowienie Rady szkolnej było ważnym krokiem na drodze kulturalnego rozwoju kraju. Niestety, nie odpowiedziała pokładanym w niej nadziejom i wyniki jej działalności nie są tak pomyślne, jakby się należało spodziewać. Na to złożyły się trzy ważne przeszkody: 1) nieprzychylne stanowisko sejmu względem oświaty ludowej; 2) wadliwe urządzenie Rady szkolnej; 3) duch naczelnej władzy szkolnej.

Pierwsza z tych przeszkód była naturalnie główną. Większość sejmowa, złożona z konserwatystów, stale zapatruje się na sprawę szkolnictwa z ciasnego stanowiska partyjnego i, jeżeli już nie przez złą wolę, nie egoizm stanowy, to przynajmniej przez skąpstwo, obojętność lub wreszcie nieświadome działanie tamuje wszelki postęp na tem polu. Na punkcie niechęci do oświaty ludowej galicyjscy konserwatyści prześcignęli wszystkie tej barwy stronnictwa w całej Europie. Zasadą szlacheckiej większości sejmu było zawsze: na szkoły ludowe dawać jak najmniej, a zapewnić sobie wpływ na nie jak największy. W miarę utrwalania się wpływu stronnictwa stańczykowskiego w rządzie centralnym, konserwatyści wywierają coraz większy nacisk na szkolnictwo w kierunku jego uwstecznienia.

Hr. Mieczysław Rey wygłasza w sejmie (w r. 1880) mowę, przyjętą entuzyastycznie przez wszystkich wsteczników — mowę, w której proponuje zarzucić „modę“ zajmowania się szkołami, a przynajmniej zmienić system dzisiejszy na taki, któryby tej nauki podawał mniej, tyle tylko, ile jej sam chłop żąda. Mowę hr. Reya uzupełnili posłowie Józef Szujski i hr. Henryk Wodzicki. Pierwszy oświadczył się za obniżeniem obowiązkowych lat nauki z sześciu do czterech. Mówił on: „Napełniając głowę dziecka różnorodnemi wiadomościami, natchnęłoby ją się tylko aspiracyami do szkół wyższych,“ co ten rektor uniwersytetu uważa za niezmiernie szkodliwe. Za szkodliwe też ogłasza zbyt „wysokie“ kwalifikacye nauczycieli ludowych i radzi je „pomiarkować.“

Hr. Wodzicki pragnie oświaty, ale „powolnej.“ Chciałby, aby włościanin pozostał włościaninem, fabrykant zaś i właściciel warsztatu trwał przy warsztacie. Z tego powodu nie pochwala fundacyj stypendyalnych, gdyż jednostki są wyrywane za ich pomocą z pewnych warstw społecznych, co zrywa wszelką tradycyę.

W myśl tych twierdzeń posypały się wnioski praktyczne. Proponowano taką zmianę planów naukowych i książek, aby były inne dla wsi, a inne dla miast. Proponowano dwojakie seminarya nauczycielskie — z krótszym kursem dla nauczycieli wiejskich. Proponowano zakładanie seminaryów nauczycielskich po wsiach, po klasztorach jako internaty itd. Józef Szujski domagał się zniżenia kwalifikacyj nauczycielskich, niedopuszczania do posad nauczycieli wiejskich młodzieży z inteligencyi, odbywania nauki szkolnej na wsi tylko pięć razy na tydzień itd. Demokraci (Hausner, Romanowicz i inni) energicznie sprzeciwiali się tym żądaniom, ale stańczycy nie tracili animuszu. W marszałku krajowym, Zyblikiewiczu, pozyskali oni sobie bardzo powolne narzędzie. Rozpoczyna on zaciekłą walkę z krajową Radą szkolną.

Pod pozorem, że szkoły rujnują chłopa, przez pięcioletni okres swego urzędowania Zyblikiewicz obcinał niemiłosiernie i jakby z upodobaniem preliminarz szkolny, nieraz o 100,000 złr. rocznie. Skąpił on przedewszystkiem funduszów na zakładanie i zaopatrzenie w środki naukowe nowych szkół wiejskich. Wnikając zaś w intencye stańczyków, wystąpił w r. 1883 z własnym projektem szkolnym. Treść tego projektu była następująca. Zamiast organizować porządne szkoły etatowe z kwalifikowanymi nauczycielami, należy zakładać szkoły początkowe ladajakie, w których będą uczyły osoby bez kwalifikacyj naukowych. W szkołach istniejących wstrzymać powiększanie liczby nauczycieli. Nauka we wszystkich szkołach wiejskich i małomiejskich ma być półdniowa. Dzieci mają się uczyć tylko religii, czytania, pisania i rachunków, zwłaszcza pamięciowych. Wysokość płacy nauczyciela zależy od dobrowolnej umowy. Nauczycieli mianować będą prezesi rad powiatowych, inspektorów—Wydział krajowy. Projekt ten znosił poprostu Radę szkolną krajową, a oświatę tłumił w sposób dla stańczyków jak najpożądańszy.

Były nawet zapędy, ażeby całkowicie uwolnić sejm od obowiązku uchwalania funduszów na szkoły ludowe, a natomiast oświatę uczynić zależną od ofiarności prywatnej. Myśl tę gorąco propagował w sejmie prezes parlamentarnego Koła polskiego, Kazimierz Grocholski.

Walka o szkołę ludową przybierała coraz ostrzejszy charakter. Nie było prawie roku, aby sejm nie uchwalił jakiegoś projektu lub wniosku, zmierzającego do obalenia istniejącej szkoły. Ciekawe, że rząd centralny w Wiedniu stawać musiał na straży oświaty. Nowela szkolna 1881 r. przez sejm uchwalona i ustawa szkolna z r. 1884 nie otrzymały sankcyi cesarskiej. Wydział krajowy pozwał nawet ministra oświaty przed trybunał administracyjny o naruszenie prawa sejmu co do aprobaty planów naukowych dla szkół ludowych, ale i ta skarga nie odniosła skutku.

Za ministeryum Gautscha ponowiła się akcya przeciwko oświacie ludowej w duchu wywodów dr. Popiela, który wypowiedział w sejmie w r. 1887 następujące myśli programowe: „Jesteśmy chrześcianami w najznaczniejszej części społeczeństwa, jakimże sposobem stało się, że mamy u siebie urzeczywistniony cały program liberalistyczny w całem szkolnictwie: świeckość, przymusowość, bezpłatność i państwowość wychowania... Ta przymusowość szkoły, mojem zdaniem, z prawa naturalnego wywieść się nie da. Któż to może mieć prawo ciało ludzkie i ducha ludzkiego więzić? W każdym razie dzieje się tu gwałt prawom rodzicielskim. Ostatecznie zdaje się, żeśmy bardzo wielkie ciężary złożyli na barki tych, którzy ze szkoły ludowej nie użytkują. Ja się boję, że my przez tę raptowność pójdziemy na manowce.“ Drugi filar reakcyi, osławiony hr. Jan Stadnicki, usiłował w tym samym czasie dowieść, że im mniej się dzieci w szkole nauczą, tem będą mądrzejsze i lepsze. A więc pada hasło: „jak najmniej nauki!..“ Hr. St. Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności, wystąpił z wnioskiem oddania szkół ludowych w ręce zakonników. Paweł Popiel, jeden z głównych filarów stronnictwa stańczyków, pisał w *Czasie*, że „nikt nie ma prawa zmuszać lud do oświaty“ i że „przymus szkolny to potworność!“ „W seminaryach nauczycielskich powinni kandydatów mniej uczyć. Kandydat z miernem uzdolnieniem będzie najlepszym nauczycielem.“

Konserwatyści byli przekonani, że im się uda przeprzeć wnioski reakcyjne, ponieważ nad całą Austryą wisiało niebezpieczeństwo wniosku Lichtensteina, oddającego szkolnictwo w ręce reakcyi klerykalnej. Na szczęście Lichtenstein złożył (w r. 1889) mandat i wnioski jego zostały *eo ipso* pogrzebane. W Wiedniu powiał duch zasadniczo nieprzyjazny szkole wyznaniowej i stańczycy jeszcze raz ponieśli klęskę.

Nie pozostawało im nic innego, jak przyspieszyć utworzenie posady wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej i powołać na to stanowisko jednego ze swych menerów — prof. Bobrzyńskiego. Ten ostatni zręcznie uzyskał w Wiedniu to, czego daremnie od lat dziesięciu dopominali się stańczycy: *carte blanche* na robienie dwojakiej oświaty w Galicyi. I oto p. Bobrzyński, jak ciężka zmora poczyna gnieść szkolnictwo galicyjskie, ściśle wykonywając, o ile to jest możliwe, program stańczyków.

Nie możemy tu śledzić krok w krok za p. Światłomirem wszystkich wystąpień reakcyi tak w sejmie, jak i w praktyce szkolnictwa, gdyż brak nam na to miejsca. Dajemy tylko charakterystykę ogólną tendencyi, którą żywiła tak większość konserwatywna w sejmie, jak i p. Bobrzyński w swej działalności. Zasada tej tendencyi polega na tem, że wyższa oświata, a tem samem wyższe stanowisko w społeczeństwie i biurokracyi nie powinny być dostępne dla wszystkich, tylko dla „wybranych,“ którzy póżniej mają „prowadzić społeczeństwo.“ Zatem synowie mieszczan i włościan nie powinni mieć „aspiracyj“ do wydobywania się ze stosunków, w jakich przyszli na świat. Ponieważ oświata powszechna, dostępna dla każdego i rozwijająca umysł, zagraża przywilejom pewnych stanów, należy przeto dążyć wszelkiemi siłami do powstrzymania lub przynajmniej ograniczenia jej. Z tej zasady wypływają środki praktyczne, polegające na utrudnieniu młodzieży nieszlacheckiej ukończenia szkoły średniej przez: zerwanie wszelkich związków między szkołą ludową a średnią, obostrzenie egzaminów wstępnych, powiększenie wymagań szkolnych, ostrą klasyfikacyę z końcem kursu, zaprowadzenie egzaminów dojrzałości po IV klasie niższego gimnazyum, zmniejszenie liczby stypendyów itp. Dalsze środki praktyczne, projektowane przez konserwatystów, to zniesienie w najbliższej przyszłości przymusu szkolnego i powrócenie do dawnego systemu szkół rzemieślniczo-organistowskich pod dozorem duchowieństwa, a na razie ograniczenie w szkołach rozwoju inteligencyi dzieci przez odpowiednie plany naukowe, książki szkolne i metodę nauczania, zwłaszcza zaś przez obniżenie poziomu wykształcenia nauczycieli, tak pod względem ogólnym jako też zawodowym. Równocześnie proponują nie przyznawać większych zasiłków dla funduszu szkolnego na cele pomnożenia liczby szkół, klas i nauczycieli.

Wprowadzenie w życie tego programu ułatwia ogromnie wadliwe urządzenie rady szkolnej krajowej, w której zawodowi pedagogowie mają wpływ najmniejszy. Rada szkolna, przygnieciona żywiołem biurokratyczno - konserwatywnym, pozbawiona dostatecznej liczby sił fachowych i złożona głównie z członków mianowanych, jest w ręku takiego Bobrzyńskiego narzędziem polityki stańczykowskiej. W radzie szkolnej panuje taki duch, jaki konserwatyści uważają za konieczny. Usiłowania p. Bobrzyńskiego zmierzały ku temu, aby z ognisk oświaty uczynić fabryki serwilizmu i patryotyzmu austryackiego, aby zgnębić, tak wśród uczniów jak i nauczycieli, wszelką samodzielność, aby ograniczyć wszelkie nauczanie ściśle do tego, co „stoi“ w lichych podręcznikach i zacieśnić rozwój umysłowy młodzieży.

Za panowania Bobrzyńskiego losy szkół ludowych i nauczycielstwa były nie do pozazdroszczenia, i jeśli upadek szkolnictwa nie szedł w tak przyśpieszonem tempie, jakby się tego chciało stańczykom, to zasługa tych kilkunastu posłów opozycyjnych, zwłaszcza włościańskich, którzy robili wszystko, aby parować ciosy, wymierzone w szkołę ludową przez takich Bobrzyńskich. Po dymisyi Bobrzyńskiego,

kiedy jego miejsce zajął dr. Płażek, stosunki poczynają się nieco polepszać, ale w każdym razie stańczycy nie omijają żadnej sposobności, aby psuć szkołę ludową i zapobiegać jej normalnemu rozwojowi.

*Dalcki.*

# DIPPOLDOWIE.

Bobgaty bankier berliński, Koch, był tak zajęty geszeftami, a jego małżonka „obowiązkami towarzyskimi," że nie mogli ani chwili czasu poświęcić swym dzieciom. Ale ponieważ na szczęście za pieniądze można kupić wszystko, nawet opiekę rodzicielską, więc państwo Koch sprawili sobie Dippolda, nauczyciela domowego, któremu powierzyli bezwzględnie dwu małych synków. Ażeby zaś życie wielkomiejskie nie przeszkadzało chłopcom, a oni nawzajem nie przeszkadzali ojcu w geszeftach, a mamie w spełnianiu „obowiązków towarzyskich," więc osadzono ich z guwernerem w odludnej wioszczynie. Tam Dippold bez kontroli, bez dozoru, bez żadnych ograniczeń rozpoczął stosowanie „swojej metody wychowawczej." Polegała ona na tem, że malców straszliwie i niemiłosiernie katował. Kładł on ich luźnie lub przywiązywał i bił grubymi kijami. Z początku używał trzcin i lasek kupowanych, ale ponieważ za każdym razem łamał je na drzazgi, co go „za drogo kosztowało," przeto kazał chłopcom wycinać w krzakach tęgie kije leszczynowe. Po całych nocach rozlegały się uderzenia, jęki i płacze, bielizna i pościel zalane były krwią, kilkakrotnie służba zawiadamiała o tem rodziców, ale ci, nie mogąc oderwać się od swych geszeftów i obowiązków towarzyskich, posłali tylko na wieś zaufanego lekarza, który powróciwszy ze śledztwa, upewnił ich, że „Dippold jest idealnym wychowawcą," a jego „metoda wyborną." Teraz pedagog zaczął pastwić się nad swemi ofiarami z podwójną energią. Jeżeli dawniej bił nieszczęśliwych chłopców za rzeczywiste lub urojone winy, to odtąd bił ich bez powodu, nie powstrzymując się nawet ich utratą przytomności, dopóki mu tylko sił starczyło. Nareszcie pewnego dnia państwo Koch otrzymują wiadomość, że starszy, trzynastoletni syn ich umarł, a „idealny wychowawca" uwięziony. Co się stało? Sława „metody" Dippolda tak głośno brzmiała we wsi, że z urzędu polecono sprawdzić przyczynę śmierci. Jak żyję — opowiadał na sądzie stary, wyznaczony do tego doktór — nie widziałem podobnie zmaltretowanego trupa. Twarz, piersi, brzuch, pokryte ranami lub sińcami. Całe plecy i tylna część ciała aż do łydek czarna, mięśnie zniszczone do kości, pod skórą obszerne nacieki, zewnątrz i wewnątrz ropnie. Śledztwo wykazało, że w dzień zgonu chłopiec nie mógł już stać z osłabienia. Dippold podnosił go i dalej bił, a świadkiem tego męczeństwa musiał być ciągle młodszy brat katowanego.

W przeszłym tygodniu pedagog skazany został na 8 lat więzienia poprawczego.

Gazety niemieckie wzdrygają się wobec tego „potwora." Nie przeczę, że on jest potworem, podzielam nawet ich zdanie, że jest to okaz „sadyzmu," zwyrodnienia lubującego się w krwawem okrucieństwie. Ale czy ten potwór nie odzwierciedla w sobie pewnych rysów charakteru niemieckiego, które na innem polu nietylko nie wywołują zgrozy, ale przeciwnie budzą zachwyt? Czy w hakatyzmie pruskim nie można odnaleźć zasad owej „metody wychowawczej," polegającej na biciu? Czy śród zajadłych germanizatorów niema Dippoldów? Zachodzi tylko ta różnica, że tam zakatowywa się na śmierć jednego nieposłusznego i w gruncie rzeczy niewinnego chłopca, a tu miliony ludzi. Największym Dippoldem w Niemczech był Bismark. Jego uczniowie — Tiedemany, Kenemany, Hammersteiny — wszyscy ci guwernerzy polityczni, kształcący „dobrych Prusaków" na wschodnich kresach państwa, w biciu widzą najskuteczniejszy sposób „poprawy krnąbrnych," a gdy im kupowane i łamane na ich grzbietach laski „za drogo wypadają," każą również swym ofiarom dostarczać kijów. Odgłosy uderzeń, jęki i skargi nie dochodzą do Berlina, a jeśli nawet dojdą, przybywa dla sprawdzenia słuszności narzekań delegat, który zaręcza, że „wszystko w porządku."

*Go—on.*

# Krytyka zasady narodowości.

Zasada narodowości stworzyła jedność Niemiec i Włoch, lecz po za tem nie posunęła postępu ani o krok, wywołała jedynie jałowe i szkodliwe agitacye, odwodzi ludzi od pracy, dobrobytu i swobody..."

„...Co było koniecznością dla dwóch narodów, które tylko polityka, a nie granica przyrodzona, podzieliła była na kilka lub kilkanaście państw, to stało się manią i konikiem małych narodków, żyjących jeszcze w stanie rolniczym; zasada narodowości, utożsamiona z ideą rasy, stała się jabłkiem niezgody między klasami, plemionami, wioskami; jedna ulica walczy z drugą dlatego, że jedna jest serbską a druga chorwacką."

„I Europa ma się interesować temi sprzeczkami! My mamy się z niemi solidaryzować. Każdy z tych narodków żąda, aby Francya popierała go powagą swej myśli, pomagała mu w knowaniach nienawiści przeciw sąsiadowi; nienawidzą i spotwarzają jedni drugich, nazywają się barbarzyńcami w imię cywilizacyi, o której mają zaledwie mgliste pojęcie; jeden prosi w imię niepewnego, dalekiego pokrewieństwa łacińskiego, byśmy go uwolnili od rzekomego ucisku, lecz śmiertelną ma do nas urazę, jeśli odzywamy się w obronie tych, których on sam uciska (autor ma tu na myśli oczywiście Rumunów na Węgrzech i Żydów w Rumunii); drugi rości sobie prawo do naszej sympatyi, jako Słowianin, a więc krewny naszych sprzymierzeńców (Czesi); inny jeszcze domaga się jej w imię zasad sprawiedliwości, prawa, ludzkości — a stronnictwo, które wzywa w ten sposób imion Woltera i Kartezyusza, jest reakcyjno-klerykalnem (Słoweńcy, czy może... Polacy?..); każdy skarży się na najstraszniejszy ucisk, na jarzmo cudzoziemskie, a każdy z kolei nienawidzi i uciska tych, którzy, żyjąc na jednej z nim ziemi, nie mówią tym samym językiem lub nie należą do tej samej rasy; każdy w imię zasady narodowości błaga nas, byśmy go wyzwolili, a w imię swojej racyi stanu — byśmy mu pomogli trzymać pod jarzmem inną narodowość."

Kto to pisze? Francuz współczesny *). Francya była kiedyś „pochodnią ludzkości." Francya w deklaracyi prawa narodów z r. 1795 głosiła, że narody są wzajemnie niezależne i samodzielne bez względu na ilość swej ludności i rozmiary terytoryum. Francya słynęła ze swych zapałów dla wszelkich uciskanych narodowości, zaczynając od Greków, opiewanych przez Wiktora Hugo, kończąc na Kreteńczykach, Kubańczykach i Boerach. Na tej skłonności Francuzów budował w znacznej części swą popularność — Napoleon III. Dzisiaj zaś jeden z tych Francuzów, którzy widocznie szukają nowych dróg dla myśli francuskiej, którzy w każdym razie nie stoją w obozie reakcyi, poddaje zasadę narodowości ostrej krytyce i żąda, żeby jego naród wyrzekł się zupełnie jej popierania.

Uważamy za potrzebne zwrócić uwagę na ten głos, jako na jeden z objawów przesilenia, które obecnie idea narodowości przechodzi niewątpliwie w Europie zachodniej. To przesilenie daje początek różnym, nowym teoryom narodowości i państwa. Jedną z najoryginalniejszych i najbardziej godnych uwagi, uznaliśmy za swój obowiązek dać poznać czytelnikom polskim przed kilku miesiącami, oświetlając ją zarazem krytycznie *). Z drugą spotkaliśmy się teraz. Na ten drugi objaw nie mogliśmy nie zwrócić uwagi już choćby dlatego, że jeżeli Francuzi zaczynają z takiem lekceważeniem, a nawet, powiedzmy wprost, pogardą, mówić o narodach, które zwracają się do nich ze skargami na ucisk i z żądaniem moralnego poparcia ich dążeń, to przecież my powinniśmy o tem wiedzieć...

Widzimy u naszego Francuza nietylko zniechęcenie, ale też coś w rodzaju teoryi, mającej ten stan ducha objektywnie, naukowo uzasadnić. Z góry powiedzmy, że teorya jest nędzna, pełna sprzeczności, bardzo łatwa do obalenia. Chélard powiada, że trzeba ściśle odróżniać dwie rzeczy: dążenie ludu do rządzenia samym sobą i dążenie jakiejś „rasy" (wyraz ten w języku francuskim ma wszelkie znaczenia: tak antropologiczne i etnograficzne, jak polityczne — narodowości) do oderwania się od państwa, do którego należy. Pierwsze jest dla niego oczywiście święte; nie byłby Francuzem, gdyby nie twierdził, że prawem przyrodzonem człowieka jest ulegać tylko takim ustawom, które sam sobie nadał, w których tworzeniu sam uczestniczył. Ale, powiada, to prawo wypływa z samej cechy ludzkości, nie zaś z należenia do takiej lub owej „rasy." „Nie istnieje wcale prawo do niepodległości w znaczeniu oddzielenia jednej rasy od drugiej; uznać takie prawo, byłoby to uznać przyrodzoną wrogość ras." „W jakimże kodeksie napisano, że rasy muszą być koniecznie oddzielone od siebie? że ludzie różnych ras nie mogą łączyć się wspólnemi instytucyami, lub że taka łączność, raz ustanowiona, może być zerwana na żądanie jednej z tych ras? Nie, prawo ludzkie nie jest naruszone przez to, że kilka ras żyje w jednem państwie, pod władzą jednej konstytucyi. Jakto, jedna z nich mogłaby powiedzieć do pozostałych: oto przez kilka stuleci miałyśmy wspólne prawa, swobody, sztandar i sławę; teraz, dlatego, że mamy odmienne cechy fizyczne i odmienną mowę, oddzielamy się od was?! Nie, takich głosów uznać niepodobna, a jednak słychać je od lat czterdziestu w całej Europie!"

Ta krytyka nie wytrzymuje krytyki. Wystarczy, stając na własnem stanowisku autora, czysto logicznem, francuskiem stanowisku praw człowieka i obywatela, zwrócić uwagę na to, że przecie ludzie nie mogą łączyć się w społeczeństwo i uczestniczyć w nadawaniu sobie praw, ogólnie obowiązujących — na całej przestrzeni kuli ziemskiej albo jednej części świata, lecz muszą być podzieleni na pewną ilość społeczeństw, które z kolei mogą wchodzić ze sobą w różne stosunki współzależności, ale wewnątrz muszą rządzić się niezależnie. Otóż, faktycznie i historycznie mogą istnieć najrozmaitsze podstawy takiego podziału ludzkości na społeczeństwa; nie chcemy też i nie możemy tu oceniać wartości tych podstaw faktycznych i historycznych w porównaniu z logicznemi, racyonalnemi; ale to chyba każdy przyzna, że narodowość może być jedyną podstawą *logiczną* podziału świata na społeczeństwa, który

*) Raoul Chélard. Le principe des nationalités au point de vue philosophique et abstrait." *Mercure de France*, wrzesień, 1903.

*) Nowa teorya narodowości i państwa w Austryi. *Prawda* r. b. nr. 7 i nast.

to podział jest z kolei nieodzownym warunkiem rzeczywistego wykonywania logicznego prawa człowieka do samorządu i nieodstępnie towarzyszącego mu obowiązku poddawania się woli większości. Naturalnie, wypowiadając wyraz: narodowość, nie możemy w żaden sposób pochwalić nieznośnego zwyczaju francuskiego — mieszania tego pojęcia z pojęciem państwa lub rasy. Cechy fizyczne i przeważnie fikcyjne określenia „psychologii mas“ pozostawmy zupełnie na stronie: narodowość — jest to mowa oraz zamieszkiwanie jednego ciągłego terytoryum. Te dwa czynniki są niezbędne i wystarczające dla stworzenia — ojczyzny.

I dlatego dziwacznie, śmiesznie wygląda, gdy Chélard oświadcza, że Rewolucya francuska bynajmniej nie chciała przyznać wszelkiej „rasie“ prawa do oderwania się od swej „ojczyzny,“ ponieważ odebrała Baskom i Bretonom prawo używania ich mowy w stosunkach urzędowych. Nie zachwycam się wcale wodą ocukrzoną, którą teoretyk pokoju międzynarodowego, p. Jakób Nowikow, rozlał na siedmiuset stronicach swego dzieła „La Fédération de l'Europe,“ lecz muszę przyznać, że na tym punkcie mógłby on uczyć Francuza—konsekwentnego stosowania racyonalistycznych zasad praw człowieka. Rosyanin ten marzy o stanach zjednoczonych Europy z dyrektoryatem centralnym; jeśli jakakolwiek grupa ludności zapragnie ze swojego terytoryum utworzyć nowy „stan,“ to zwraca się z odnośnem podaniem (bez stempla!) do dyrektoryatu, a ten, wysłuchawszy strony interesowane, zarządza głosowanie powszechne danej grupy — np. Alzacyi i Lotaryngii — którego wynik rozstrzyga.

Ważniejsze i ciekawsze od tej teoryi są psychologiczne motywy zniechęcenia, odwrotu Francuza. Są one złożone, nie ze wszystkich zdaje on sobie sprawę. Właściwie przytacza tylko jeden, istotnie bardzo ważny. Oto, przyznając z Laveley'em, że budzenie się i wzmacnianie świadomości narodowej jest rezultatem dążności demokratycznych i humanistycznych XIX wieku, rezultatem nieuniknionym uprzystępnienia kultury masom ludowym, twierdzi Chélard, że działanie tych dążności właśnie w tej dziedzinie nie kończy się na tej fazie. Fazę świadomości przedewszystkiem narodowej i walk przez nią natchnionych Europa Zachodnia, jego zdaniem, pozostawiła już za sobą. Obecnie dalszy rozwój dążności demokratycznych i wolnościowych, cywilizacyi samej, wprowadza narody wyżej rozwinięte w fazę życia międzynarodowego, świadomości kosmopolitycznej. „Ten sam ruch demokratyczny, który na Wschodzie wznieca walkę *ras* (*sic!*), prowadzi Zachód ku kosmopolityzmowi.“

W zdaniu tem brak jednego słowa: już. Zachód może *już* kroczyć ku kosmopolityzmowi, ponieważ kwestye narodowe są dla niego *już* rozstrzygnięte. Po urzeczywistnieniu jedności Włoch i Niemiec (Austryę zalicza nasz autor oczywiście do „Wschodu“), pozostały już tylko kwestye całkiem małej wagi; bo ważność kwestyi irlandzkiej jest ekonomiczna i wyznaniowa, ale nie narodowościowa. „Idee kosmopolityczne są więc na Zachodzie tak już rozwinięte, że nie może nas wzruszać namiętność młodych, tworzących się dopiero narodów Wschodu.“ Na dowód, że Francya wyszła z okresu, w którym mogły ją wzburzać kwestye językowe, autor przytacza fakt, że zakaz używania języka bretońskiego w kościołach, wydany przez ministeryum Combes'a, wywołał nadzwyczaj słabe poruszenie opinii publicznej, która ucichła natychmiast. „Wyobraźmy sobie natomiast ruch, który powstałby w razie wydania przez rząd niemiecki, austryacki lub węgierski podobnego zakazu względem języków polskiego, czeskiego, rumuńskiego lub serbskiego!“

Bo też są języki i języki, i niewątpliwie nie wszystkie kwestye, które mają wygląd narodowościowych, są takiemi i mają jednakową wagę. Wyznaję, że i mnie zakaz używania mowy bretońskiej w nauce katechizmu niebardzo wzruszył, jakkolwiek był niewątpliwie całkiem zbyteczny i zresztą niewykonalny. Język bretoński ma znaczenie czysto etnograficzne i filologiczne; nie odpowiada żadnej żywej świadomości narodowej, bo idea „celtycka“ żyje wyłącznie w świadomości amatorów-dyletantów, urządzających kongresy; języka bretońskiego, niezrozumiałego dla Francuzów, używali księża przy nauce katechizmu wyłącznie dlatego, żeby swobodnie szczepić prawdziwie średniowieczne, gdzieindziej nieznane przesądy i nienawiść do rzeczypospolitej i postępu. Mówiliśmy wyżej o teoretycznem prawie każdej grupy ludzi do wyodrębnienia się; ale przecież nie każda faktycznie zechce się wyodrębniać, choćby mówiła innem narzeczem, bo nie każdą będzie stać na to cywilizacyjnie. Pan Combes, jak słyszymy, wytacza procesy o zdradę stanu członkom kongresu celtyckiego, zarzuca im chęć oderwania Bretanii od Francyi. Jakże niepotrzebnie! jak niemądrze! Dążenie takie nie istnieje, a choćby istniało, nigdy nie znalazłoby echa wśród samej ludności bretońskiej. Dziś kilkaset tys. ciemnych chłopów nie rozumie jeszcze po francusku, lecz już z następnem pokoleniem będzie inaczej. Breton, jako Breton, nigdy nie będzie mógł zaspokoić wszystkich potrzeb duchowych; większą ich część zaspokoi tylko — jako Francuz. Istnieją faktyczne stosunki drobnych plemion innojęzycznych do wielkich narodów, w których oczywista jest wyższość cywilizacyi tych drugich, korzyść współżycia i asymilacyi; oczywista — bo wyraża się w jedynem takiego stosunku kryteryum — w braku rzeczywistej chęci oderwania się.

Ale jeśli tak jest z Bretonami, jeśli tak być może z tem lub owem nielicznem plemieniem na t. zw. przez Francuza „Wschodzie,“ to strzeżmy się uogólnień. Możemy go rozumieć, gdy odpycha myśl oderwania się jakiejkolwiekbądź prowincyi od Francyi, tego zresztą pod względem narodowym najdoskonalej zjednoczonego kraju; możemy pojąć, że po przykrych doświadczeniach, których Francya doznała ze strony zjednoczonych Niemiec i Włoch, zapał dla zasady narodowości w nim ostygł, choć powinien pamiętać, że w jednym i drugim wypadku winna nie zasada narodowości, lecz połowiczność i wyzywająca kapryśność Napoleona III. Ale w żadnym wypadku nie możemy pozwolić, żeby pod wpływem tych racyj sądził stosunki inne — np. austryackie — gdzie tyle jest nierozstrzygniętych kwestyj narodowościowych, niebaskijskich i nie-bretońskich.

Uderza tutaj jedna okoliczność. Zasada narodowości zwalczana była dawniej przez kontr-rewolucyę. Po r. 1849, za rządów Bacha, zebrali się w Wiedniu biskupi wszech-austryaccy i potępili dążenia narodowościowe na tej zasadzie, że narodowość nie jest dobrem, lecz złem, ponieważ pochodzi z pomieszania języków pod wieżą Babel, z kary bożej. Zupełnie to samo głosi dziś innemi słowami biskup Kopp wrocławski; co może nam służyć za jeden z mnóstwa dowodów, że dążenia narodowościowe i dziś zwalczane są z tej samej strony, przez te same żywioły. A jednocześnie nasz Francuz jest przecie jednym z wielu, bardzo wielu Europejczyków, w najlepszem znaczeniu tego wyrazu, którzy, należąc do wręcz przeciwnego obozu ideowo-politycznego, dążności narodowościowe uważają też za pozostałość fazy przebytej, niegodną człowieka typu wyższego, wkraczającego w międzynarodową fazę cywilizacyi. Jedna ważna przyczyna niechęci lewicy ideowej do dążeń narodowych jest oczywista, wspomina o niej sam Chélard: „racya stanu“ narodowości, walczących o prawa dla siebie, a odmawiających tego samego innym. Jasnem też jest, dla nas przynajmniej, że narodowość, pragnąca ze swemi dążnościami stać na wysokości obecnej cywilizacyi europejskiej, powinna strzedz się, jak zarazy, tej wstrętnej sprzeczności. Lecz z drugiej strony i ci „Europejczycy,“ którzy wznoszą się tak niezmiernie po nad ideę narodowości, znajdują się na bardzo ślizkim gruncie i łatwo mogą popaść w sprzeczność. Teraźniejszość ulega zawsze zaprzeczeniu nietylko ze strony przyszłości, lecz i przeszłości, i często wyrazy tych zaprzeczeń są podobne. Narodowości przeczy nietylko wyższa międzynarodowość przyszłości, która się na niej musi opierać, ale i międzynarodowość przeszłości, która jej jeszcze nie znała; a i ta druga międzynarodowość — kościoła, arystokracyi, feodalizmu — przeciwstawia jej ideę ludzkości, jako jedności bez granic. I pokój między narodami może też być urzeczywistniony na sposób, właściwy przyszłości lub przeszłości; w jednym i drugim wypadku jest pokojem, ale nie jest to przecież jedno i to samo. Nasz Francuz zdaje się nie dostrzegać tej różnicy; bo chociaż w jednem miejscu odmawia prawa oddzielania się „rasom,“ żyjącym „w związku instytucyj wolnych i opiekuńczych,“ to jednak stosuje tę zasadę najspokojniej i do — państwa Padyszacha..., a za najważniejszy wniosek ze swej krytyki zasady narodowości dla polityka praktycznego uważa — „staranie się o to, aby dzisiejsze ugrupowanie państw na Wschodzie nie zostało zmienione, bo toby wepchnęło kontynent w stan gorszy od obecnego.“

Dlatego, niestety, wystąpienie tego Francuza, tak nagwałt gaszącego „pochodnię ludzkości,“ przypomina wyrzeczone przed kilku laty, tak trzeźwo-kupieckie słowa ministra Raynala, jednego z przywódców odbywającej się wówczas melinistycznej reakcyi, że „Francya teraz ma na wywóz już tylko swoje towary, lecz nie idee.“

*K. Radosławski.*

## Z kursów akademickich

W SALCBURGU.

IV.

Wykłady z zakresu *ekonomii politycznej*, choć w porównaniu z wykładami Toenniesa i Breysiga grupowały się koło zagadnień bardziej określonych czasem i miejscem, miały też odrębny charakter wykładów „wolnego uniwersytetu.“ Miejsce stereotypowej „historyi ek. pol.“ „polityki socyalnej“ zajęło swobodne omawianie najaktualniejszych kwestyj; miejsce „praw“ objektywnych i już zszarzałych, które wśród słuchaczy nie wywołują protestów, ale też i gorętszych nie znajdują zwolenników — czysto osobiste ujęcie przedmiotu, polemika na prawo i lewo. Dr. Eulenburg z Lipska przeważną część swego wykładu o „polityce handlowej“ poświęcił zagadnieniom i projektom doniosłego znaczenia dla przyszłości gospodarczej całego świata cywilizowanego, nowemu imperyalizmowi handlowemu (Greater - Britain, Panamerykanizm, Rosya), badaniu wspólności i rozbieżności interesów gospodarczych państw środkowo-europejskich oraz kwestyi przyszłych traktatów handlowych. Profesor Adolf Weber z Berlina w „zagadnieniach wielkoprzemysłowego rozwoju“ zajrzał śmiało w oczy groźnemu dla Europy, zwłaszcza dla krajów germańskich i romańskich, wzmożeniu się kapitalizmu za oceanem. Wobec tego, że kraje środkowoeuropejskie, wraz z Anglią, opierają byt

swój na dowożonem z za morza zbożu, za które płacą fabrykatami, rozwój przemysłowy Stanów Zjednoczonych, Japonii, Indyj nasuwa trwożne pytanie, czy Europa nie zostanie z czasem wypartą z tamtejszych rynków, pozbawioną znaczenia niezbędnego dostawcy wyrobów przemysłowych, a z nim i naturalnego odbiorcy płodów surowych, stanowiących już konieczne dopełnienie europejskiej produkcyi zbożowej. Odpowiedź na to pytanie starał się Weber znaleźć w dokładnej i zajmującej analizie naturalnych warunków produkcyi krajów germańsko-romańskich i wielkich, zamorskich skupień gospodarczych, uwzględniając nietylko klimat, płody surowe i minerały, ale przedewszystkiem fizyczne i kupieckie właściwości i tradycye ludności miejscowej.

Wykłady Webera i Eulenburga, które się w wielu punktach krzyżowały i dopełniały, budziły zajęcie głównie z powodu aktualności tematu — wykłady prof. Wernera Sombarta zaciekawiały samą osobą mówiącego, znanego ze swej swady, elegancyi wystąpienia i poprzedzonego świeżym rozgłosem dzieł swoich: „Współczesny kapitalizm“ i „Gospodarka niemiecka w XIX stuleciu.“ Wytworny, a przytem lekki styl zwabił ku nim i niefachowych czytelników i krytyków, którzy w łamach pism codziennych, w pochwalnych sprawozdaniach dziękowali Sombartowi za uprzystępnienie im mnóstwa wiadomości, strzeżonych zazwyczaj przed szerokiemi masami niepowołanych oschłością naukowych monografij i systemów. Przejrzyste ujęcie ogromnego materyału i ugrupowanie go w dosadnem sformułowaniu palących zagadnień dnia, w wyświetleniu różnorodnych przejawów współczesnego życia gospodarczego, złożenie ich w jeden pełny obraz, zjednało pracom Sombarta i w kołach poważnych uznanie, połączone z ostrą krytyką teoretycznych podstaw jego badań. Sombart nie zadawala się mianem historyka gospodarki, skromną rolą badacza kolejnego następstwa przejawów i form życia gospodarczego, ale chce uczynić z nich ilustracyę do twórczej myśli filozofa, wcielić je w teoryę społeczną. Według niego zadaniem teoryi jest uporządkowanie zjawisk z punktu widzenia przyczyny lub celu. O wyborze odpowiedniego punktu widzenia rozstrzygają właściwości danej epoki. Okres np. merkantylistyczny, wśród którego działalnością gospodarczą kierowało świadome dążenie ku celom z góry wytkniętym i pożądanym, chce Sombart rozpatrywać z punktu widzenia teleologicznego, zaś dla gospodarki nam współczesnej, wśród której chaotyczna inicyatywa jednostek zastąpiła wiodącą rękę państwa, obiera on tłomaczenie zjawisk przyczynowe.

Polemizując z materyalizmem dziejowym, przeczy Sombart możności znalezienia jednej teoryi, tłomaczącej jednolicie cały bieg rozwoju społecznego, i chce ją zastąpić poszczególnemi „teoryami rozwoju“ dla pewnych, historycznie odgraniczonych okresów gospodarczych. Według Sombarta istotnem źródłem wszystkich zdarzeń społecznych są „tkwiące w ludziach pobudki,“ pełne rozmaitości, a zmienne z upływem wieków. Zadaniem teoryj społecznych może więc być jedynie wykrycie prawidłowości właściwej życiu społecznemu, tj. ograniczonej miejscem i czasem, wydobycie na jaw owych „nad innemi górujących pobudek,“ które kształtująco, a w rozmaitych epokach rozmaicie na życie gospodarcze wpływają. Te pobudki, ten „duch w gospodarce,“ stanowiły temat wykładów Sombarta, który je określił jako „całość chceń i dążeń duchowych,“ kierujących gospodarczą działalnością jednostek.

Co się dzieje w duszy chłopa, pracującego na własnej roli — co jest celem jego gospodarczych wysiłków? — Zdobycie utrzymania dla siebie i swoich. Chłop jest technicznym robotnikiem, o technice przejętej w puściznie po ojcach, niechętny nowościom, które uważa za obce i wrogie, niechętny racyonalizmowi, bo nie ufa nauce nowoczesnej, niechętny rachunkom i kupczeniu wytworem swej pracy. Pragnie otrzymać pewne jakości, niezbędne do opędzenia potrzeb, kieruje pracą jego określona *jakość*.

Psyche tradycyjnego rzemieślnika, którego obraz stworzyły wieki średnie, jest ściśle z wieśniaczą spokrewniona. Rzemieślnik to niejako, z punktu widzenia psychologicznego, chłop bez roli. Tu jak i tam zdobycie utrzymania jest głównym bodźcem działalności gospodarczej. Byt jego jest ściśle złączony ze znajomością rzemiosła, z umiejętnością techniczną. I jego praca jest *jakościowa*, zupełna i cała, pochłania ona człowieka, łączy się z jego życiem, wnika we wszystkie jego pory. To zespolenie się z pracą, którą kocha, sprawia, że wolność od pracy i po za pracą mało dlań jest ważną, a stąd wypływa łatwość w poddaniu się przymusowi i ograniczeniu woli przez ustawy cechowe. Rachunkowość jest mu zarówno, jak chłopu, niemiła, a kupczenie, nadające oznaczonej jakości jego pracy formę pieniężną, ilościową — tylko złem koniecznem.

W przeciwstawieniu do rzemiosła jest *kupiectwo* treścią kapitalizmu. Punktem wyjścia przedsiebiorstwa kapitalistycznego jest pewna kwota pieniężna, a dojście do pieniędzy — zakończeniem działalności gospodarczej. *Ilość* nie jakość rozpoczyna, *ilość* nie jakość kończy, bezkresna, bezgraniczna, jak liczba, której tron wznosi się w pośrodku. Znika kształt, forma i jakość, w gospodarce kapitalistycznej nie odgrywają one żadnej roli. Przedsiebiorca jest właścicielem, nie robotnikiem, organizuje, zarządza, rachuje, lecz nie pracuje, a obrazu przedsiebiorstwa szuka w cyfrach, nie w kształtach wytwarzanych, których wybór jest czysto przypadkowy, w kantorze, nie w fabryce. Nie tradycya, lecz racyonalizm gospodarczy wpływa na obiór sposobów działania, które świadomie stara się oprzeć na metodach najnowszych, celowi najodpowiedniejszych. A celem—zysk, zaś osiągnięcie zysku jedyną pobudką, „duchem“ gospodarki kapitalistycznej.

Broniąc własnej teoryi (rozróżniania okresów gospodarczych według górujących w nich pobudek, według ich „ducha“) polemizuje Sombart z Hildebrandem i Bücherem. Podział na gospodarkę naturalną, pieniężną i kredytową (Hildebrand) wydaje mu się niewystarczającym wskutek zaznaczania momentów czysto zewnętrznych, zarówno jak wprowadzony przez Büchera podział na gospodarkę naturalną, wymienną (praca na zamówienie, wymiana między wytwórcą a spożywcą) i towarowo-obiegową, obecną. Praca na zamówienie nie może być uważaną za charakterystyczną cechę wytwórczości rzemieślniczej, gdyż spotkać się z nią można w przedsiebiorstwach kapitalistycznych na największą skalę, w fabrykach wagonów, maszyn, okrętów, armat (Krupp) itd. Tkwiące w żywych ludziach pobudki działania „ducha,“ który sam stwarza odpowiednie kształty i urządzenia zewnętrzne, ustrój społeczny, będący jego przejawem, uważa Sombart za pierwotną przyczynę zmian i kolejnego następstwa okresów gospodarczych i odrzuca wszystkie dotychczasowe teorye zarówno materyalistyczne, jak idealistyczne. „Duch nowy zaczyna kiełkować wśród kształtów, które mu pozostawił — ostatnią swą fazę przeżywający poprzednik przeobraża je, panując czas pewien niepodzielnie i w pewnej jeszcze chwale dobiega końca, nosząc już w sobie zarodki nowego ducha, budzącego się do istnienia.“ Heglowska dyalektyka, przejęta od Marxa.

*H. G.*

## Z powodu kongresu drezdeńskiego.

Artykuł p. z. w nr. 40 *Prawdy* p. t. „Wiec drezdeński,“ pisany widocznie na podstawie sprawozdań bardzo niedokładnych, zmusza mnie do skreślenia następujących, niezbędnych uzupełnień i sprostowań.

Przedewszystkiem, ażeby zrozumieć ten kongres, trzeba znać tło historyczne, na którem on się odbywał. Stronnictwo odniosło przy ostatnich wyborach ogromny, niebywały tryumf: 3 miliony głosów padło na jego kandydatów, z których 81 otrzymało mandaty poselskie. Cyfry te są objawem olbrzymiego i niezmiernie szybkiego wzrostu stronnictwa, a ten wzrost musiał nasunąć jego odpowiedzialnym kierownikom następujące trzy myśli: 1) Jak zużytkować ten nadzwyczajny przyrost sił? 2) Wzrastająca moralna i materyalna *) potęga stronnictwa przyciąga do niego znaczny zastęp ludzi nowych, którzy nie zżyli się jeszcze z jego myślą zasadniczą i nie zerwali z nałogami umysłowymi i praktycznymi klas i stronnictw innych; jak się więc zachować wobec grożącej wskutek tego zmiany zasadniczego charakteru stronnictwa? Wreszcie: 3) Jak się zachować, jeśli rząd wobec takiego wzrostu zechce obciąć powszechne prawo wyborcze lub w inny sposób ograniczyć prawa obywatelskie?

Obrady i rezultaty kongresu tylko wtedy stają się zrozumiałymi, jeśli się ma w pamięci powyższe troski i obawy, wynikające zupełnie naturalnie ze wzrostu partyi. To jest przecie przyczyną całego t. zw. „rewizyonizmu,“ czyli dążność do zrewidowania, do przejrzenia i zmiany dotyczasowych zasad stronnictwa w kierunku *ewolucyi*, stopniowych drobnych reform, współdziałania w celu ich otrzymania z innemi stronnictwami, z lewicą mieszczańską, oraz wogóle — łagodzenia przeciwieństw i zatargów, tak, aby w żadnym razie bieg pokojowy ewolucyi nie mógł być naruszony. Co do „przenoszenia walki na grunt parlamentu,“ to oczywiście rewizyoniści nie mogli tego środka dopiero wynaleźć, ponieważ jest on praktykowany od lat trzydziestu kilku. Przeciwnicy ich, nie usuwając się naturalnie od zdobywania reform, ani nie wyrzekając ewolucyi, nie wierzą w jej możliwość aż do końca, przewidują nieuniknione ostre zatargi i liczą, jak dotychczas, tak i nadal, tylko na zorganizowany nacisk z dołu, którego pierwszym, niezbędnym warunkiem jest — *czystość świadomości*.

Walka o tę czystość — to charakterystyka całego kongresu; a wyraziła się ona w jednej sprawie wielkiej, i w jednej—małej.

Mała — to sprawa współpracownictwa w pismach mieszczańskich. Żeby ją ocenić, trzeba wiedzieć o co szło. Istnieje w Berlinie t. zw. bezpartyjny tygodnik *Die Zukunft*, wydawany przez p. Maksymiliana Wittkowskiego, który się przezwał Hardenem. Ten p. Harden — to fanatyczny wielbiciel Bismarcka i zwolennik germanizacyi, a po za tem — dyletant polityczny, niecofający się przed ogłaszaniem w swem pisemku i bardzo przewrotowo wyglądających artykułów, jeśli tylko są one sensacyjne i drażnią naskórek filistra, który w dzisiejszych czasach lubi to i płaci dobrze za tę zabawę. Redaktor *Zukunft* starał się więc przyciągnąć też kilku demokratów społecznych, i znalazł chętnych albo w liczbie nowo nawróconych, jak pastor Göhre, lub — choć starych działaczy, lecz sprzyjających „rewizyonizmowi,“ jak dr. Hen-

*) Ogromny rozwój pracy partyjnej, w której wielka ilość posad płatnych stoi otworem dla inteligencyi; stanowiska poselskie również są płatne przez partyę i t. p.

ryk Braun z żoną swą Lily, jednem słowem takich, którzy nie oddali się wyznawanej idei „ze skórą i włosami,“ nie spalili mostów między sobą a społeczeństwem mieszczańskiem. Ponieważ w *Zukunft* ukazywały się niejednokrotnie artykuły samego Hardena i innych, całkiem reakcyjne, przewrotnie wyszydzające cele i działalność całego stronnictwa; ponieważ wreszcie jeden ze społeczno-demokratycznych współpracowników, p. Bernhard, ogłosił tam artykuł, przypisujący wodzom stronnictwa podwójną etykę okłamywania mas, tak jak nauczyciel nie mówi całej prawdy dzieciom; więc w partyi wybuchło oburzenie, Hardena i *Zukunft* napiętnowano i uznano pisywanie do podobnych wydawnictw za niezgodne z należeniem do stronnictwa. Braun zaś i Bernhard, broniąc się, przypomnieli przeszłość swego oskarżyciela, Mehringa, który przed 20 laty namiętnie zwalczał stronnictwo, a i później utrzymywał stosunki z Hardenem. Mehring wskutek tego oświadczył, że dopóki nie usprawiedliwi się publicznie, ustępuje z zajmowanych posad w redakcyach organów partyjnych *Die Neue Zeit* i *Leipziger Volkszeitung*. Cała ta część dyskusyi wskutek swego charakteru osobistego robi bardzo przykre wrażenie. Jednakowoż trzeba zaznaczyć, że stronnictwo, o którem mowa, jest jedynem w kraju, które może tak publicznie prać swoje brudy i tak gorliwie się z nich oczyszcza. Znać, że tu gra rolę decydującą nie ta lub owa jednostka, lecz rzeczywiście zorganizowana, świadoma masa. Antagonizm wodzów rozdwoiłby niechybnie każde inne stronnictwo. Tu — wodzowie mówili sobie podczas następnej dyskusyi o zasady partyi bezwzględną prawdę w oczy; a ogół raz jeszcze dał dowód, że nie uznaje powag, że sądzi i postępuje samodzielnie.

Druga dyskusya była o wiele ważniejsza. Powód do niej dał zaraz po wyborach ogłoszony artykuł Bernsteina. Radził on frakcyi społeczno-demokratycznej w parlamencie, jako najsilniejszej po centrum, żądać dla jednego ze swych członków miejsca pierwszego wiceprezesa. Frakcya już w r. 1898 wystąpiła z tem żądaniem, lecz wtedy wszystko rozbiło się o postawiony jej przez inne stronnictwa warunek, aby wiceprezes społeczno-demokratyczny wraz z całem prezydyum przedstawił się cesarzowi. Obecnie wódz i teoretyk rewizyonistów, widząc w wiceprezydenturze pewną wartość konkretną dla partyi, radził, żeby posłowie społeczno - demokratyczni przystali na ów warunek większości i—pomimo mów Wilhelma II w Essen i Wrocławiu — poddali się tej „formalności.“ Jest to istotnie próba przeniesienia na grunt niemiecki polityki Millerandowskiej, tylko z tą różnicą, jaka zachodzi między rzecząpospolitą a cesarstwem, oraz między konkretną wartością urzędu ministra a czysto dekoracyjną — wiceprezesa parlamentu. Ta propozycya, w której najdobitniej wyraziła się odmienność myślowa i *uczuciowa* rewizyonizmu od zasad dotychczasowych, wywołała w całej partyi prawdziwą burzę, tembardziej, że poparł ją „dyplomata“ Vollmar. Zjazd z tego powodu przeprowadził gruntowną dyskusyę nie o programie wprawdzie, którego nikt nie myślał „przeglądać,“ lecz o taktyce; odrzucił z oburzeniem radę antirepublikańską Bernsteina i przyjął 257 głosami *przeciw 11* (wyraźnie: *jedenastu*) rezolucyę, oświadczającą się za dawną taktyką „zwyciężania przeciwników klasowych,“ a potępiającą próby „przystosowywania się do istniejącego ustroju.“ Że przytem „dogmat“ walki klas nikomu nie „ciężył,“ dowodzi fakt, że sami przywódcy prawicy, Vollmar i Auer, nazwali oszczercami tych, którzyby chcieli twierdzić, że nie stoją oni nadal, jak i zawsze, na gruncie klasowym. Może się to komuś nie podobać, ale w interesie informowanych czytelników trzeba stwierdzić ten jedynie rzeczywisty stan rzeczy.

Nie możemy się tu dłużej rozwodzić o kongresie drezdeńskim i jego znaczeniu, które polega na zachowaniu charakteru zasadniczego partyi pomimo jej olbrzymiego rozrostu.

Wreszcie, gdy się w pismach polskich pisze o zjeździe drezdeńskim, to trzeba zaznaczyć, że przyniósł on gorzką kompromitacyę pani dr. Róży Luxemburg, której podstępne wywody w sprawie stosunku społecznych demokratów niemieckich i polskich jeszcze na przeszłorocznym zjeździe w Monachium słuchane były przychylnie. I w tym wypadku zjazd drezdeński opatrzył się, ze stronnictwu grozi odstępstwo od dawnych zasad tradycyjnych, że mogłoby ono wejść na równię pochyłą „socyalhakatyzmu,“ który jest także rodzajem—i to najnędzniejszym—„rewizyonizmu—i opatrzywszy się, rozpoczął zwrot ku dawnym zasadom. Sposobność dał mu zarząd partyi polskiej (pp. Berfus, Biniszkiewicz i inni w Berlinie), ogłaszając list otwarty do zjazdu, w którym zarząd partyi niemieckiej ostro został skrytykowany za to, że ulegając intrygom p. Luxemburg, uniemożliwił porozumienie się organizacyjne partyi polskiej z niemiecką, nie chciał się zgodzić na kandydatury polskie w polskich okręgach itp. List otwarty skłonił kilku wybitnych mówców do potępienia postępowania zarządu niemieckiego; jeden z nich, znany poseł Ledebour, stwierdził przytem, że wydawana przez panią Luxemburg w Poznaniu *Gazeta Ludowa*, pomimo 2,600 marek subwencyi, miała tylko 37 abonentów i w końcu upadła, że zatem prostem kłamstwem były wielokrotne twierdzenia tej pani, iż za nią i tylko za nią stoją robotnicy polscy. To odkrycie, na które pani L. nie umiała nic odpowiedzieć, oprócz płaskich dowcipów, zrobiło piorunujące wrażenie. Wprawdzie zjazd przyjął wniosek pani L., udzielający zarządowi absolutoryum *), ale same organy partyi stwierdzają, że przyczyną takiej decyzyi był tylko brak czasu i zupełne zaabsorbowanie zjazdu sprawami dla niego ważniejszemi i roznamiętniającemi, oraz domagają się ponownego rozpatrzenia całej sprawy na przyszłym zjeździe. Tak czy owak, intrygancki wpływ pani L. na zarząd partyi zdaje się być szczęśliwie skończony.

*Dr. K. Krauz.*

*) Na tem widocznie opiera się mylna ocena stanowiska zjazdu przez autora „Tygodnia politycznego“ w nr. 40. Odjęcie subwencyi *Gazecie Rob.* nastąpiło dawno, bo już w r. 1900.

## FEJLETON.

# PAMIĘTNIK.

### Namyślili się...

Chyba już zbrakło w Galicyi utytułowanych rodowo dyletantów, ołtarzników i zakrystyanów nauki, krewniaków i protegowanych Stańczyka krakowskiego, suplentów i nauczycieli gimnazyalnych, całujących w rękę biskupa, księcia lub hrabiego mającego głos „we Widniu,“ chyba się już wyczerpał do dna cały pokład rodzimego materyału, z którego wyrabiano profesorów uniwersytetu i członków Akademii, skoro Chmielowski Piotr powołany został na katedrę hstoryi literatury polskiej do Lwowa. „Sfery miarodajne“ medytowały nad tym wyborem lat wiele. Rzeczywiście trudno było się zdecydować, bo Chmielowski miał za sobą tylko trzydzieści lat pracy nad przedmiotem, długi szereg dzieł pierwszorzędnego znaczenia, zasługę głębokiego wpływu na kierunek i metodę badań, olbrzymią wiedzę, długoletnie doświadczenie pedagogiczne, niepokalany charakter, słowem to, co położone razem na szali, nie zważy jednego „przyjaznego słówka,“ szepniętego „we Widniu“ za „odpowiednim“ kandydatem. Nadarzała się nawet dobra ku temu sposobność: we Lwowie wykładał historyę literatury polskiej człowiek, który mało i tylko przygodnie nią się zajmował, który potem długo był chory, więc zaczęto myśleć i wreszcie po ośmiu latach tego namysłu mianowano Chmielowskiego profesorem wtedy, kiedy mu już wiek zabrał dużo energii, a praca dużo zdrowia, kiedy gdzieindziej miałby on już prawo odpocząć. No, ale namyślili się... A mogli byli przecie wcale tego nie zrobić i ofiarować np. katedrę historyi literatury jakiemuś „porządnemu“ suplentowi, który spisał kolędy śpiewane na Pokuciu...

### Chorzy lekarze.

B. Prus w ostatnim okresie swych „kronik“ albo pisywał do siebie co tydzień listy, albo sprowadzał Anglika, z którym rozprawiał i tym sposobem wytwarzał sobie materyał fejletonowy. Ten niefortunny a w każdym razie zbyt jednostajny pomysł odziedziczyło po nim kilku publicystów warszawskich, którzy również korespondują z sobą i rozmawiają z Anglikami. Pozostawilibyśmy tę sprawę do załatwienia ich czytelnikom, mającym większe od nas prawo skarżyć się na „toujours des perdrix,“ gdyby z pod tych samych piór nie płynęły równocześnie skargi na brak oryginalności w przedmiotach wystawy galanteryjnej. Bądźcie panowie sprawiedliwi: wy ustawicznie powtarzacie dwa wzory w fabrykatach galanteryi dziennikarskiej, a jubilerom, pudełkarzom, bronzownikom, introligatorom wyrzucacie monotonność. Zobaczylibyście, jak ona by dopiero wylazła z całą swą bezmierną nudą, gdybyśmy urządzili wystawę fejletonów. Fikcyjny list i fikcyjny Anglik — to za krótka skala pomysłowości, która siebie daje za przykład innym. Niech ona zdobędzie się na większą rozmaitość, a z pewnością jubiler warszawski, robiąc pierścionek, będzie się wstydził wprawić weń oczko z rubinowego serca, przebitego perłową strzałą. Jeżeli zaś wszyscy jesteśmy chorzy na bezpłodność wyobraźni, to stękajmy razem i nie udawajmy lekarzów wobec tych, którzy szczerze przyznają się do swej słabości.

### Od śliny.

Wychodzący w Clevelandzie tygodnik *Polonia* pisze:

„Donosiliśmy swojego czasu o przybyciu Jana ks. Sapiehy, najmłodszego syna Adama ks. Sapiehy z Krasiczyna w Galicyi, do Nowego Yorku. Donosiliśmy również o ożenieniu się Jana ks. Sapiehy z córką znanego miliardera Astora. Dzisiaj mamy do zanotowania jedną więcej wiadomość: młody, bo zaledwie 25-letni książę zakłada, a względnie założył już *olbrzymi interes bankowy*. Ma on zamiar *skupić cały ruch emigracyi polskiej i nadać jej kierunek odpowiedni* i praktyczny. Na razie, wskutek śmierci ojca, odłożono cokolwiek akcyę czynności podjętych. Gazety angielskie i niemieckie nadzwyczaj pochlebnie wyrażają się o księciu polskim i z całą szczerością wypowiadają, że młody książę jest ulubieńcem najwyższych kół towarzyskich i stanowczo *imponuje milionerom* tutejszym. W świecie finansowym budzi wielkie zainteresowanie przedsiebiorczy i praktyczny umysł młodego księcia. Przepowiadają mu *wielką przyszłość*. Szczególnie podkreślają *epokową postać* ś. p. ks. Adama, oraz to, że syn jego najmłodszy uznał za stosowne *rzucić sie w wir świata i przebojem* zdobyć odpowiedni majątek. Szczęście mu dotychczas posłużyło i nadal będzie bez wątpienia wiernym towarzyszem sympatycznego księcia.“

Biedne te nasze głowy! Nie opuszcza ich rodzime pomieszanie pojęć moralnych nawet w Ameryce, która swym zdrowym roz-

sądkiem porządkuje zwykle bezłady umysłowe przybyszów europejskich. I tam jest dla *Polonii* bohaterem polski książę, który się żeni z córką miliardera, i tam założyciel „olbrzymiego interesu bankowego“ jest dobroczyńcą, który „nadaje emigracyi odpowiedni kierunek,“ i tam syn „epokowej postaci“ jest sławiony za to, że „się rzuca w wir życia i zdobywa majątek.“ Nie bądźmy ciekawi, coby autor tej ody pochwalnej odpowiedział, gdybyśmy go zapytali, jak książę-bankier „skupi cały ruch emigracyjny“ i co on lepszego zrobił od setki arystokratów, zdobywających u nas „przebojem“ posagi córek dorobkiewiczów — bo on przy pisaniu jej wcale nie myślał. Ot, tak sobie wzorem Jowialskiego palnął coś „od śliny,“ wiedząc, że rodakom w kraju ojczystym sprawi wielką przyjemność. I sprawił.

### Melodya kosa.

P. Jeske-Choiński jest ochrypłym kosem, który nauczył się i przez całe życie wygwizdywał jedną banalną melodyjkę przeciwko pozytywistom. Że on dotąd ją niezmordowanie powtarza i na inną zdobyć się nie może, trzeba mu wybaczyć, bo repertuar kosów bywa zwykle ubogim. Ale dziwi nas, że są amatorzy, którzy tego nudnego śpiewaka osadzają w nowych klatkach. Taką, jeśli nie całkiem nową, to przynajmniej odświeżoną klatką jest *Kuryer Warszawski*, w którym p. Choiński w dalszym ciągu gwiżdże z powodu śmierci Marrenowej: „W miarę jak Morżkowska oddalała się od romantyzmu a zbliżała do pozytywizmu, odzywały się w jej powieściach znane frazesy, jak: wiedza to potęga, pogoń za wiedzą, *dobrobytem i użyciem jest celem* człowieka“ itd. Taki niepotrzebny w literaturze komunał, jak p. Ch. baje, prawdopodobnie na nikim nie sprawi żadnego wrażenia, ale warto, ażeby nowy redaktor *Kuryera* w interesie swego pisma zagadnął go przy sposobności: „Powiedz mi też, kochany mistrzu, gdzie to pozytywiści twierdzili, że „celem człowieka jest użycie“?

### Osobliwy pomysł.

P. Wiktor Gomulicki zabrał się na łamach *Gońca* do urzeczywistnienia bardzo osobliwego pomysłu: pragnie on skłonić nakładców warszawskich do bezpłatnego zasilania biblioteki klasztoru jasnogórskiego wszystkiemi nowemi wydawnictwami, a to dla uczynienia przysługi biednym OO. Paulinom, którzy usychają bez wiedzy nowoczesnej, a nie stać ich na kupno książek.

Trudno przewidzieć jakie stanowisko zajmą w tej sprawie nakładcy warszawscy; być może, że ten i ów dla reklamy uczyni zadość wezwaniu p. Gomulickiego. Niezależnie jednak od tego faktu sama inicyatywa p. Gomulickiego zasługuje na ocenę z punktu widzenia ogólnego.

Od kilku lat cała prasa postępowa utyskuje na brak wielkiej i poważnej biblioteki publicznej w Warszawie; jest to niewątpliwie potrzeba bardzo paląca, a jej niezaspokojenie świadczy o niekulturalności naszego społeczeństwa. Setki uczącej się młodzieży płci obojga, całe zastępy ludzi wykształconych, wreszcie szczupły zastęp naszych uczonych i dziennikarzy musi się obywać bez instytucyi tak niezbędnej przy wszelkiej pracy umysłowej i społecznej, jak dobrze zaopatrzona i dla ogółu dostępna książnica publiczna.

Wszystkie wysiłki ludzi światłych i dobrej woli powinny być skierowane w tę stronę i jeżeli nasi nakładcy chcieliby ponieść ofiarę dla dobra publicznego, to niechby się przyczynili do stworzenia publicznej warszawskiej biblioteki naukowej. Wyzyskiwać małą ich ofiarność dla celu tak nieprodukcyjnego, jak zasilanie biblioteki na Jasnej Górze, to zwracać pożyteczną działalność w zupełnie fałszywym kierunku i pozbawiać szeroki ogół płynącycn z niej korzyści.

OO. Paulini częstochowscy należą niewątpliwie do najlepiej uposażonych w naszym kraju, a liczne gromady pątnicze zostawiają im corocznie praktyczne dowody swej pobożnej pamięci; można być pewnym, że z tych środków, jakie OO. Paulini gromadzą bez żadnego trudu, dałoby się założyć ładną i obfitą książnicę publiczną, z której korzystałaby nie garstka ojców, lecz cały ogół.

### 33 miliony.

Warszawa jest w przededniu doniosłych przedsięwzięć, których właściwe i umiejętne przeprowadzenie przyczyni się niewątpliwie do stworzenia pomyślnych warunków dla materyalnego i kulturalnego rozwoju naszego miasta, obecnie trapionego szeregiem jedynych w swym rodzaju niedogodności.

Ów legendarny trzeci most, który stał się już tematem dla pism humorystycznych, posiada niesłychanie doniosłe znaczenie dla miasta, obecnie ściśniętego na szczupłej przestrzeni i niemogącego się rozszerzać w pożądanym dla siebie kierunku. Połączenie nas z Saską Kępą i Pragą przyczyni się prawdopodobnie do częściowego przynajmniej rozwiązania kwestyi mieszkaniowej, na którą w obecnych warunkach niema bodaj żadnego lekarstwa.

W jeszcze wyższym stopniu uczyni to zaprowadzenie tramwajów elektrycznych, to znaczy taniej i szybkiej komunikacyi; oczywiście, ilość linij, dzisiaj całkowicie niewystarczająca, powinna być pomnożona i przedłużona, a wreszcie muszą być zaprowadzone wszelkie udogodnienia dla jeżdżących, jak np. bilety przez korespondencyę, których brak daje się obecnie uczuwać bardzo dotkliwie.

Z powstaniem dogodnej linii tramwajów elektrycznych zniknie zapewne znaczna ilość ohydnych dorożek warszawskich, urągających zwłaszcza w zimie wszelkim wymaganiom. Strata na ilości powetuje się prawdopodobnie jakością; kto zechce wziąć dorożkę, ten wprawdzie zapłaci za kurs więcej, niż dzisiaj, ale za to będzie miał istotną wygodę.

Pomnożenie hal targowych przyniesie tak widoczny pożytek, że chyba o nim mówić nie potrzeba. Będzie to z jednej strony ogromnem udogodnieniem, a z drugiej umożliwi przestrzeganie przepisów zdrowotnych, dzisiaj niewątpliwie gwałconych i zaniedbywanych. Pierwszym warunkiem zdrowotności jest czystość, a o tej bez hal targowych i mowy być nie może.

Jeszcze donioślejsze znaczenie będzie miało pobudowanie rzeźni centralnej, boć póki nie zostaniemy wszyscy wegetaryanami, kwestya zdrowego i dobrego mięsa posiada dla nas pierwszorzędne znaczenie.

Obecnie chodzi tylko o to, aby te miliony pozostały w kraju a nie powędrowały do obcych kieszeni. Dałoby się zapewne wszystko, albo prawie wszystko, wykonać siłami krajowemi, niechże więc interesowani nie zasypiają gruszek w popiele, lecz czynią wczesne o to zabiegi. W ten sposób za miliony zapłacimy wprawdzie procent, lecz przynajmniej nie rozproszymy ich po świecie, przyczyniając się tym sposobem do podtrzymania jednych, a stworzania może nawet drugich gałęzi przemysłu i rzemiosł, do tej pory u nas nieistniejących.

### Dzieci giną.

Jeżeli odkrycie, uczynione przez p. Kwaśniewskiego w *Wieku*, sprawdzi się, to mamy do czynienia z niebezpiecznym wrogiem, z którym należy walczyć wszelka godziwą bronią, by zniszczyć w zarodku tę klęskę społeczną.

Niedosyć ofiar dorosłych, wśród których prostytucya wybiera coraz obfitszy haracz, teraz dzieci zagrożone są przez rozpustę i zgorszenie. Z chłopców robią dozorców lupanarów, każą im być opiekunami tych wrzodów na naszem ciele moralnem, dziewczątka zaś, przed osiągnięciem dojrzałości fizycznej, wabią starzy rozpustnicy dla zaspokojenia niezdrowych i zbrodniczych popędów samczych.

Już nie stoimy nad przepaścią, ale staczamy się w jej głąb...

Najściślejszy dozór nad dziećmi nie wystarczy; całe społeczeństwo winno ocknąć się z martwoty, władza powinna użyć wszelkich, nawet najsurowszych środków przeciw tej zarazie, grożącej przyszłości całych pokoleń. Krucyata przeciw zepsuciu, tak szeroką rozlewającemu się rzeką — oto hasło chwili i jej najpilniejsza potrzeba.

---

## BADANIA NAUKOWE.

# Życie utajone.

(Dokończenie).

Zjawisko *anabiozy* zauważono zresztą i wśród innych gromad zwierzęcych; podlegają jej np. drobne robaki z rodziny węgorków (Anguillulidae), żyjące wewnątrz ziarn pszenicy. Wśród zwierząt wyżej uorganizowanych niż wrotki, niesporczaki i węgorki, w warunkach niesprzyjających normalnemu przebiegowi zjawisk życiowych, jako to podczas chłodów zimy lub w czasie wielkiej suszy, w niektórych krajach gorących zamiast anabiozy — występuje sen głęboki. Zależnie od pory roku, kiedy organizmom grozi zguba od mrozów lub suszy, odróżniamy sen zimowy i letni; podlegają mu tak zwierzęta, jak i rośliny. Różne zwierzęta wpadają w sen zimowy różnej głębokości: jedne z nich budzą się rzadko, inne często; niektóre zaś bezkręgowe prawdopodobnie przez cały czas trwania snu nie budzą się wcale. Szczególniej dokładne badania nad snem zimowym bobaka przeprowadził w latach 1895 i 1896 Dubois. To zwierzę w ten sposób zapada w sen zimowy, że okresy jego snu zwykłego stają się stopniowo coraz dłuższe, z nadejściem zaś wiosny — przeciwnie skracają się coraz bardziej. W środku zaś zimy, podczas snu najgłębszego, najdłuższego budzi się on co 3—4 tygodnie na 12—24 godzin dla usunięcia ze swego ciała ekskrementów i moczu. Wydzielanie soku żołądkowego oraz trawienie i wchłanianie pokarmów ulega w tym okresie znacznemu osłabieniu — trwa jednak przez cały czas bez przerwy. Odżywianie organizmu odbywa się wtedy głównie kosztem nagromadzonego podczas jesieni tłuszczu, tak że wiosną zwierzęta, zapadające w taki sen znajdują się w stanie wielkiego wycieńczenia i wychudzenia. Bicie serca w tym okresie słabnie i ulega zwolnieniu do tego stopnia, że na godzinę daje się naliczyć zaledwie 15 skurczów — tyleż co i oddechów płucnych. Sprawność czynności oddechowej obniża się również bardzo znacznie. Pogrążony w sen zimowy bobak zużywa $1/_{30}$ lub nawet $1/_{40}$ część tej ilości tlenu, która jest mu niezbędna podczas normalnego czuwania. Temperatura ciała zniża się do 4,6° (normalna wynosi 37,5°). Skutkiem uszczuplenia wszystkich czynności fizyologicznych bobak traci w przeciągu 160 dni, spędzonych we śnie, tyle na wadze, co przez 12 dni podczas życia normalnego. Wyraźną więc jest oszczęd-

ność, jaką r bi organizm, zapadając w sen podczas bi dnej w środki żywności zimy.

Z pośród zwierząt wyżej uorganizowanych zdolne są zapadać w sen zimowy niektóre ssaki, oraz prawie wszystkie płazy i gady. Co do ptaków to do ostatnich czasów panowało wśród przyrodników głębokie przekonanie, że, mając możność przenoszenia się z surowszego klimatu do krain o klimacie łagodniejszym — snu zimowemu nie podlegają wcale.

Te zaś liczne opowieści o znajdywanych podczas zimy w odrętwieniu jaskółkach, skowronkach i szpakach surowsza krytyka naukowa kładła zwykle między bajki. Nagromadza się jednak powoli coraz więcej wiarogodnych spostrzeżeń (porówn. *Ornithologische Zentralblatt* z r. 1877), potwierdzających prawdziwość tych opowieści. Podobnie rzecz się miała i z mniemaniem, przez krytykę lekarską ze sceptycyzmem przyjmowanem, o zdolności człowieka do zapadania w sen głęboki. Dziś już znane są bardzo liczne przykłady wypadków letargu, czyli śmierci pozornej, jakiej ulegają ludzie chorzy. Najciekawsze są jednak dla biologii ogólnej zjawiska letargu dowolnego.

W Indyach, tej „krainie czarów i cudów" zdawien dawna panuje przekonanie, że niektórzy ludzie, szczególniej fakirowie, znani ze swej świątobliwości, zdolni są na długi czas zatrzymywać bieg swego życia. Podróżnicy przytaczają cały szereg podobnych wypadków. Najwiarogodniejsze znich i najciekawsze zebrał i opisał James Braid w swem dziele „Der Hypnotismus" wydanem w r. 1882. Czytamy tam pomiędzy innemi opis takiego wypadku. Fakira, który dobrowolnie wpadł w sen głęboki (letarg), zaszyto do worka i umieszczono w oddzielnym budynku, zatarasowanym i zzewnątrz opieczętowanym. Świadkowie, którzy przy tem byli obecni, stwierdzili, że żadnego podstępu, żadnego oszustwa tu być nie mogło, gdyż koło budynku ustawiono straż, która dniem i nocą w przeciągu sześciu tygodni strzegła don wejścia. Po upływie sześciu tygodni wydobyto z pod pieczęci (nienaruszonej) fakira, wyjęto go z worka i poddano obserwacyi lekarskiej. Worek zewnątrz pokryty był pleśnią; ciało zaś fakira skostniało i wynędzniało; najlżejszego pulsu zaobserwować nie było można. Dopiero kiedy służący fakira oblał mu głowę ciepłą wodą, na ciemię położył kompres, z nozdrzy i z uszu wyjął wosk, a zaciśnięte zęby rozsunął nożem i wyciągnął mu język, fakir powoli otwierał powieki, ciało jego zaczęło drgać konwulsyjnie, nozdrza rozdęły się, zeschnięta i pomarszczona skóra powracała do stanu normalnego, a po kilku minutach obecni usłyszeli zapytanie: „Czy teraz wierzycie mi?" Niewątpliwie, wszystkie tego rodzaju opowieści, szczególniej jeżeli dotyczą fakirów indyjskich, przyjmowane są powszechnie z niedowierzaniem, i słusznie: umiarkowany sceptycyzm stanowi podstawę wszelkiej krytyki. Zdrugiej jednak strony przesadą grzeszy nauka wtedy, jeżeli odrzuca wiarogodność takich faktów, przeciw którym nie może wystawić żadnych dowodów ich niemożliwości.

Dziś mamy już wielką ilość wypadków, kiedy lekarze, stosując zwykłe metody badania, nie mogą wykryć żadnych objawów życiowych, kiedy nie ma ani pulsu, ani oddechu, ani ruchu, a pomimo to pozorny trup po upływie pewnego czasu znów powraca do życia. Te zjawiska dają się związać w nieprzerwany szereg, stopniowo przechodzący w sen normalny. Znaną jest rzeczą, że drogą ćwiczenia różne czynności fizyologiczne organizmu, odbywające się zwykle nieświadomie, automatycznie, można uczynić stopniowo zależnemi od naszej woli — jak np. ruch i skurcze niektórych mięśni. Bywały wypadki, że ludzie niezwykłej energii i silnej woli, momentalnie zapadali w sen głęboki. Te, dotychczas jeszcze dość ciemne zjawiska stanowią bardzo wdzięczne i wiele obiecujące pole badań dla fizyologów, którzy, jak i w innych wypadkach, potrafią dowieść naukowo, że w zjawiskach letargu i wogóle anabiozy, niema nic cudownego, nic nadprzyrodzonego.

Preyer (Naturwissenschaftliche Thatsachen und Probleme, 1880) robi bardzo dowcipne porównanie organizmu z zegarem. Organizm, pozostający w stanie życia normalnego, jest zegarem nakręconym i idącym; — w stanie życia utajonego — nakręconym, lecz stojącym; trup zaś, czyli organizm martwy, jest to zegar zepsuty, którego żadne popychanie, ani nakręcanie w ruch puścić nie zdoła.

*K. Kulwieć.*

## LITERATURA I SZTUKA.

# ODGŁOSY.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Na Skalnem Podhalu.* Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1903.

Wam wszystkim poleciłbym gorąco ostatnią książkę Tetmajera...

Wam, którzy tonąc w morzu codziennych trosk i kłopotów, zmuszeni jesteście oddychać wrzawą i turkotem miast wielkich, i patrzeć zblizka na to szare życie, takie sztrasznie jednolite i takie beznadziejnie zabijające!.. Wam wszystkim, przykutym do taczki narzuconych obowiązków, pławiącym się z musu w zabójczej atmosferze powszedniej codzienności, wam, smutnym i wyczerpanym, którzy w krynicach piękna szukacie zapomnienia i sił do walki z czekającem jutrem. A jeżeli chcecie wylecieć na chwilę z tej dusznej klatki, do której zapchało was życie, zapomnieć o tej mrocznej, jednostajnej płaszczyźnie, po której kroczycie, odlecieć daleko, daleko od waszych spraw codziennych i troski o jutro, daleko od gwaru i od wszystkiego, co stało się dla was męczarnią, to weźcie do ręki ostatnią książkę Tetmajera. Ani jedno słowo w niej nie zawdzięczy wam ponurym pobrzękiem dźwiganego łańcucha i nic wam nie przypomni tej strasznej, zabójczej monotonii życia!..

Ukażą się wam Tatry, pokryte białomodrym szronem, zamajaczą w dali wirchy, otulone śniegiem, owieje was wiatr halny i gaje zaskalskie zaszumią. Ogarnie was chłód lasów smrekowych, i usłyszycie w nich przeciągły ryk i sapanie niedźwiedzia, to znowu śmignie wam przed oczyma rogacz i cicho, bez szelestu, jak cień, oddali się i zniknie gdzieś w gąszczach. Zaszemrze wam wartki Dunajec, zahuczą rytmem melodyjnym potoki górskie, wyrosną na drodze złomy skał i głazów, a słońce wyjrzy z poza turni i jasnemi falami rozleje się w przestworzach i ozłoci wam ten kraj piękny, pełen świeżości i dziwów, kraj zaklęty i zaczarowany. A w kraju tym niezwykłych zobaczycie ludzi: jakichś wielkoludów o ramionach potężnych, jak konary dębów, o uczuciach prostych i silnych, a nieposkromionych, jak bieg strumieni górskich, to głębokich i rozlewnych, jak szum jodeł i smreków, to twardych, a nieugiętych, jako granit skalny, jakichś praludzi, wydobytych ze zmierzchów przeszłości, pogrzebanych przed wiekiem, a przecież żywych, jak ten wicher halny, co w Tatrach króluje i jako ten wicher żyjących...

Wspominam o tem i oto, jak w kalejdoskopie przesuwają mi się widziane obrazy. Więc wracam do nich myślą i widzę zbójecką chałupę, a w niej chłopów na schwał, gibkich, jak sosny, odważnych i dzielnych, a strasznych, jak noc... To znowu staje mi przed oczyma dziki juhas, siłacz nad siłacze, zły, jak piekło, kat na dziewki, chłop gwałtowny i niepohamowany, jak pożar... To widzę znowu namiętną Krystkę, spieszącą w nocy z żagwią płonącą ku rywalce, by jej siwe oczy wypalić. Oto, idzie z dziką burzą namiętności w piersiach, idzie okropna, jak szatan zemsty i zniszczenia... Przypomina mi się muzykant, Jasiek Mosiężny, co tak baby i dziewki czarował, „że nie to po licu, ale i po rękach go całowały i klękiwały przed nim, jak przed obrazem." A on śmiał się z tego i „nikt nie wiedział, co mu w sercu gra." A jemu grała w sercu poezya. A jak pokochał, to miłość jego była tak głęboka i rzewna, jako te dźwięki skrzypcowe, które wiatr po halach roznosił.. Jak żywy, staje mi przed oczyma Michał Łojas, gazda z dziada pradziada. Podpił sobie Łojas i rozczulił się nad dolą. Wszystko mu dokuczyło i świat cały obmierzł... Obwiesić się, czy co!.. A może mu nie wolno? Nie? albož to nie może zrobić, „co mu się zwidzi..?" I któż śmiałby mu rozkazywać?!.. „Począł wyciągać pasek, przewleczony przez spodnie, przesunął przez klamrę i zaczepił na konarze.

— Smreku — krzyczy — obwiesem się na tobie! Słisys? *)

Ale smrek milczał.

— Słisys? Ni stąd ni zowąd rozrzewnił się Michał Łojas Kośla. Obejmuje pień drzewa ramionami, przyciska usta do kory i powiada: Moje drzewo kohane! Unieś ze mię tez by na kwilę, niekze się ta juz pote i urwiem. My tak, jak bracia. Na tobie bije śnieg, dysc, bodaś wto o cię uwadzi, pierun, kie fce strzeli do tobie, wiater tobą huzio, marne twoje zywobycie, jako i moje! Moje drzewo kohane! tak se haw bedziemy wroz bidzili. Ino ty ku górze wiérhowce, ja se zaś ku ziemie piętami. A cobyś mnie nie strzepnon, jaz dojńdem..." I gazda z dziada pradziada „zadzierzgnął sobie pasek na gardło."

To przypomina mi się Józek Smaś, strzelec nad strzelce, zbójnik zaciekły, bezbożnik, długo obrażający Pana Boga, nawrócony wreszcie, gdy śmierć zajrzała mu w oczy. Namówiły go baby, aby pojechał się wysłuchać i Pana Boga przeprosił. Zgodził się Smaś i zaczął się szykować do drogi, na odpust do Ludzimierza. Wstał z łóżka, umył się i oblókł odświętnie. I radowały się baby, co z nim miały jechać... „Ale się dopiero zadziwią! bo tu przed chałupę zajeżdża wóz, a na wozie skrzypkowie dwaj, basisty — jak na weselе. A dopiero gęby otwarły, kiedy Smaś pistolety dwa za pas, noże dwa, do garści ciupaga, a przez ramię flinta.

— Zej, bójcie się Boga, kumoterku! Coz wy robicie!?... Dy to przecie nie na kozy!.. A Józiek Smaś oparł się na ciupadze i powiada: Nigdyjek jo nie seł inacyj ku niwtóremu panu: dziedzicowi, derektorowi, kaserowi, kupcowi, abo co fciało, niek było. A dy przecie, padocie, Pan Bóg nowięksy ze syćkich... Niekze mu ta niebedzie krzywo, niek se nie krziwdzi. A że to się mamy jednać, to muzykę bierem, coby wiedzioł, ze nie załujem na te zgodę i zapłacem. A niekze i to wie, ze kie On gazda na niebie, to ja tez niezgorsy na swoim, w Olcy. Moze On mi pierunem zagrzmi, to ja mu zaś basami dom odbrzęceć..." — I pojechał...

Skalne Podhale odtworzył Tetmajer pięknie i niezwykle. Ukazał ten kraj śliczny i w głąb jego prowadził, a jednak, patrząc na dziwy, roztaczające się przed oczyma, miałem wrażenie, jak gdybym sam błądził i sam ten kraj cudny poznawał. Autor pokazał, a pokazawszy, zniknął.

*) Zachowuję pisownię oryginału.

I niema tam już nikogo, coby podziwiać przeszkadzał.

Więc znowu chciałoby się zawiesić myśl, hen, na ośnieżonych szczytach Tatr i znowu powrócić do tych ludzi, dyszących życiem i prawdą, niezwykłych swoją fantazyą junacką, a takich odmiennych od wszystkich „typów“ i „kreacyj,“ a takich dalekich od powszedniości szarego życia, takich obcych i niedostępnych wszelkiej szarzyźnie i szablonowi. I znowu chciałoby się długie przeżyć z nimi chwile. Bo „Na Skalnem Podhalu“ to jeszcze, jak gdyby słodkie wspomnienie baśni, zasłyszanych w dzieciństwie, jak gdyby dalekie echo ulubionej muzyki, która niegdyś kołysała do snu, a którą dawno, już dawno zagłuszyło życie..

Dość! W morze poezyi polskiej, w morze, błyszczące dzisiaj różnobarwnym blaskiem najpiękniejszych dyamentów, pereł, szmaragdów i opali, w morze pieniące się i grające wszystkiemi dźwiękami: od cichych szmerów harfianych aż do ryku rozhukanych fal oceanu, w to przeogromne morze, jakiem jest wyolbrzymiała bólem i pragnieniami współczesna dusza polska, w to cudne, ukochane morze nowa zawitała fala. Z tatrzańskich spłynęła szczytów...

*Artur Śliwiński.*

# Walerya Marrené-Morżkowska.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 10 b. m., nie dobiegłszy sześćdziesiątego siódmego roku życia, zmarła w Warszawie zasłużona powieściopisarka, Walerya Marrené-Morżkowska. Była ona jedną z tych niezbyt licznych u nas jeszcze oraczek niwy literackiej i publicystycznej, dla których pióro — to nie zabawka chwilowa, nie lekarstwo na nudę i pustkę życia, nie źródło zarobku jedynie, ale narzędzie szlachetnej i poważnej pracy, stanowiącej istotną potrzebę ducha, a mającej zawsze na celu postęp i dobro otaczającego ogółu.

Młodszemu pokoleniu obcym jest już dzisiaj zapewne długi szereg powieści, które wyszły z pod pióra Marrenowej w ciągu czterdziestoletniego przeszło okresu jej twórczości beletrystycznej. Nowe talenty, nowe środki pisarskie, nowe zagadnienia i sprawy rozciągnęły jak gdyby przesłonę mglistą między chwilą obecną a czasami, w których świeżo zgasła powieściopisarka odtwarzała burze sercowe Jerzego, Gustawa („Nemezys“), Róży, Leonory, Januarego, a nawet gdy niedawno stosunkowo (rok 1896) roztaczała przed nami swą rzewną i sympatyczną „Historyę zwyczajnego człowieka,“ z zajmującym obrazem Warszawy z przed lat kilkudziesięciu. Tem bardziej zatem przypomnieć trzeba, że autorka „Mężów i żon,“ choć wychowana w atmosferze zamożnego dworu ziemiańskiego i należąca wiekiem do pokolenia starszego, sympatyami swemi łączyła się zawsze z młodymi, usiłując zrozumieć ich dążenia i cele i dać im wyraz w swych pracach.

Takie stanowisko np. zajęła Marrenowa w pamiętnej dobie rozbudzenia ogółu naszego przez grupę młodych około r. 1870. W epoce ślepego uwielbienia i bezwzględnej powagi szlachetczyzny nie wahała się podkreślać nicości moralnej i umysłowej oraz słabości charakterów różnych przedstawicieli tej sfery, upominając się przytem gorąco o gwałcone przez nich, jak również i przez warunki i urządzenia społeczne, prawa uczucia i serca płci drugiej.

Otrząsnąwszy się nieco z pod przemożnego w dawniejszych utworach wpływu Jerzego Sanda, po pierwszych wybuchach entuzyastycznych na cześć podnoszonej do ideału i apoteozowanej bezwzględnie miłości, powieściopisarka nasza usiłowała zgłębić inne strony rozwijającej się przed jej oczyma kwestyi kobiecej, wchłaniając wogóle z dużą wrażliwością najnowsze prądy życia.

Lecz wyzwolenie kobiety w dziedzinie uczucia nie przestało jej nigdy zajmować. Miłość pozostała dla niej zawsze najdonioślejszą sprawą życia, której poświęciła najlepsze swoje utwory. Bohaterki Marrenowej, wyhodowane przeważnie w cieplarnianej atmosferze salonów, wydane za mąż za obojętnych im ludzi, nim uświadomić sobie zdołały znaczenie więzów małżeńskich, dojrzewają prędko i zdobywają się nieraz na bunt, na zerwanie nawet zupełne pęt narzuconych, gdy znieść ich dłużej nie mogą.

Autorka „Historyi dwóch serc,“ choć obdarzona dużym zapałem, wrażliwością, temperamentem i talentem niepospolitym, nie należy zresztą do pierwszorzędnych naszych sił twórczych. W powieści jej uderza wogóle pewna jednostronność, szczupły zakres obserwacyi, a stąd i poruszanych tematów i zagadnień. Wrażliwość Marrenowej na nowe prądy życia i sztuki występowała wyraźniej w licznych jej pracach publicystycznych, w studyach literackich, w przekładach nawet dzieł obcych. Dość przypomnieć, że przed paru laty wydała tłomaczenie większości dramatów Ibsena, a jedną z prac jej ostatnich był szkic o najnowszej naszej literaturze dramatycznej, umieszczony w paryskiem *Revue des Revues.*

*Wł. B.*

## SPRAWY EKONOMICZNE

# Z powodu wystawy włościańskiej w Miechowie.

Pogląd mój na wystawę wyraziłem w Sekcyi Rolnej; tu zatem nie będę wyjaśniał jej znaczenia, pragnę natomiast podać parę cyfr wyciągniętych z danych statystycznych, zgromadzonych na wystawie.

Ludności włościańskiej w powiecie Miechowskim było w 1864 — 68,443, w 1903 — zaś 137,943, a ludności ogólnej 152,864. Powiat Miechowski jest zatem wybitnie i typowo rolniczym; okazuje on wielki wzrost zaludnienia, który doprowadził do tego, że dziś na wiorstę kwadratową wypade 129,5 ludności. Gęstość ta osiągnięta została przez nadzwyczajną siłę rozrodczą ludności wiejskiej. Jednocześnie zaś śmiertelność się zmniejszała: na 1000 osób w pięcioleciu 1893—97 umierało 20,1, a w następnem pięcioleciu od 1898—902 r. — tylko 16,92. Ludności więc przybywa stale w większej ilości, a jednocześnie też poprawia się i stan jej fizyczny. Oto dane z ksiąg poborowych, dotyczące popisowych:

| Okresy rok | procent popisowych bardz. nizk. u Żydów | włościan bardzo nizkich % | włościan nizkich % | włościan średnich % | włościan wysokich % | włościan bardzo wysokich % |
|---|---|---|---|---|---|---|
| I. 1882 - 81 | 17,41 | 26.6 | 25,34 | 33,42 | 12,77 | 1,83 |
| II. 1882 - 86 | 18,91 | 22,5 | 26,6 | 37,13 | 12,47 | 1,27 |
| III. 1887 - 91 | 20,8 | 17,69 | 25,89 | 38,62 | 16,08 | 1,73 |
| IV. 1892 - 96 | 20,31 | 16,76 | 26,92 | 38,3 | 16,18 | 1,81 |
| V. 1897—02 | 21,28 | 13'52 | 24.83 | 41,69 | 17,68 | 2,3 |

Ludność zatem włościańska w odróżnieniu od żydowskiej staje się coraz mężniejszą fizycznie; obok wzrostu wysokości podnosi się również i proporcya szerokości klatki piersiowej u włościan:

wskaźnik klatki piersiowej

| Okresy | mieszczanie | włościanie | Żydzi |
|---|---|---|---|
| I | 50,76 | 52,26 | 49,72 |
| II | 51,32 | 52,56 | 50,52 |
| III | 52.11 | 53.01 | 51,02 |
| IV | 52.29 | 53,50 | 51.26 |
| V | 51,37 | 52,47 | 50,15 |

Włościanie górują stale nad innemi grupami ludności względną szerokości klatki piersiowej, która pomimo wzrostu ich wysokości, względnie nietylko nie zmniejsza się, ale podnosi.

A teraz parę cyfr, rzucających światło na stan umysłowy i moralny ludności włościańskiej.

Procent popisowych, umiejących czytać i pisać:

| Okresy | wśród włościan | mieszczan | Żydów |
|---|---|---|---|
| I. 1874 79 | 5,41 | 45,78 | 32,6 |
| II. 1878—84 | 7,62 | 45,97 | 29,5 |
| III. 1885—89 | 10,45 | 50,40 | 37,34 |
| IV. 1890—94 | 14;48 | 50,54 | 24.55 |
| V. 1895 - 99 | 19,43 | 64,01 | 38,93 |
| VI. 1900—02 | 33,64 | 67,05 | 60,41 |

Około r. 1875 widzimy wśród włościan kardzo mało umiejących czytać i pisać, w porównaniu z mieszczanami i Żydami. Rzecz to naturalna, bo dla ludności wiejskiej umiejętność ta jest znacznie mniej potrzebną, niż dla miejskiej, a przytem znacznie trudniejszą do osiągnięcia: wiadomo bowiem, że na wsi nieraz o milę trzeba dzieci posyłać do szkoły, w dodatku w zimie, podczas gdy w mieście szkoła jest na miejscu. Biorąc te naturalne warunki pod uwagę, musimy uznać, że wzrost umiejętności czytania i pisania w powiecie Miechowskim jest bardzo znaczny wśród ludności włościańskiej, i w każdym razie stosunkowo dużo większy, niż wśród innych grup ludności.

Moralność trudno daje się w cyfrach oznaczyć. Ilość spraw sądowych i karnych, mojem zdaniem, stanu tego nie oznacza, nietyle bowiem ujawnia ilość dokonanych, co dochodzonych sądownie przestępstw. Dawniej znacznie więcej przestępstw oraz kradzieży pozostawało bezkarnych i wcale niedochodzonych sądownie. W miarę ulepszeń policyjno-sądowych, w miarę też oświaty, wzrastać musi ilość spraw, niezależnie od tego, że ilość przestępstw może bynajmniej się nie zwiększać. W powiecie Miechowskim znajdujemy względnie niezbyt wielki wzrost spraw sądowych, który właśnie nie upoważnia bynajmniej do wniosków o wzroście przestępstw.

| Okresy | przyrost ludności | przyrost spraw: karnych | przyrost spraw: cywiln. |
|---|---|---|---|
| I 1876 - 80 | 1 | 1 | 1 |
| II 1881—85 | 1.07 | 1,05 | 1,07 |
| III 1886—90 | 1,16 | 1.22 | 1,17 |
| IV 1891 95 | 1.29 | 1.29 | 1,49 |
| V 1896 1900 | 1.44 | 1,47 | 1.52 |

Lepiej od ilości spraw karnych o moralnym stanie ludności ubocznie świadczyć może parę innych szczegółów. Tak, co do dzieci nieślubnych w okresie 1893—7 r. było ich średnio 161 rocznie, w następnem pięcioleciu 1898—1902 już tylko 129. Wódki sprzedano w powiecie w 1900 roku — 1,521,320 stopni za 270,793 rb. 96 kop., w 1901 r. 1,398,199 stopni za 267,734 rb. 29 kop., a w 1902 r. — 1,357,320 stopni za 259,852 rb. 75 kop.

Szereg powyższych cyfr wykazuje niezbicie, że w zapadłym, przeważnie rolniczym powiecie Miechowskim, w łonie ludności miejscowej odbywa zię samorodnie postęp, w którym ludność włościańska bierze główny udział. Postęp ten płynie z sił w samem włościaństwie tkwiących; jest wynikiem jego siły rozrodczej, odporności organizmów i dążenia do wzmocnienia ich fizycznie i duchowo, unikania nadużyć (dzieci nieślubne i wódka). Zakończymy zaś ten obraz danemi o wzroście ekonomicznej siły włościaństwa pow. Miechowskiego:

| | | |
|---|---|---|
| w 1864 r. mieli oni gruntów | 96.489 mor. | — pręt. |
| otrzymali w zamian za serwituty | 7,396 „ | 195 „ |
| dokupili z własnych funduszów | 15,480 „ | 231 „ |
| dokupili częścią z własnych fund., cz. przy pom. B. wł. (2/4 szac.) | 11.982 „ | 282 „ |
| mają w 1902 r. | 121,457 „ | 115 „ |

Wśród kupujących przy pomocy Banku włościańskiego było 1,182 bezrolnych, a 1,322 małorolnych.

Płacono za mórg ziemi średnio 13 rb. 14 k., właściwie od 50 do 276 rb.; zadatki włościan przy kupnie wynosiły średnio 39 rb. 80 k. od 8 do 162 rb.). Ogółem na kupno gruntów przy pomocy Banku włościańskiego wnieśli włościanie 425,071 rb., a Bank dołożył w postaci pożyczki 1,096,712 rb. Jeśli wziąć pod uwagę grunty, nabyte przez włościan bez pomocy Banku, to otrzymamy przypuszczalną sumę, zapłaconą od 1864 r. przez włościan za grunty nabyte około półtora do dwóch milionów rubli.

A może powiat Miechowski to jakaś wyjątkowa kraina, w której włościanie niezwykle bogato są uposażeni?

Zajrzyjmy do danych warszawskiego Komitetu statystycznego. W 1864 r. na 10,448 osad włościańskich w pow. Miechowskim było tylko 1,437 mających więcej niż 15 m. rozległości, a 1,240 miało mniej niż 3 morgi. W 1899 było już osad powyżej 15 m. 2,637, a poniżej 3 m. — 2,411.

Tak więc osady włościańskie nie ulegają rozpadaniu na drobne działki, nie dające samodzielności ich posiadaczom, a przeciwnie wzrastają głównie wśród włościan samodzielne jednostki gospodarcze. Dzieje się to przytem pomimo, że w 1864 r. uposażenie włościan było bardzo słabe. Obok szczupłego uposażenia rolnego włościan z 1864 r. i dawniejszych czasów, w pow. Miechowskim znajdujemy, jak wogóle w gub. Kieleckiej, bardzo nizką skalę płacy zarobkowej na wsi. Według Komitetu statystycznego wynosi ona na wiosnę i w jesieni 21—23 kop. dla mężczyzny i 17—20 kop. dla kobiety; w czasie sianokosów i żniw 32—37 kop. dla mężczyzny i 21—20 kop. dla kobiety, a zimą 16 kop. dla mężczyzn i 11 kop. dla kobiet. A jednak przy takiej skali zarobków 1,182 włościan bezrolnych zdołało kupić grunta, na ogół bardzo drogo płacone.

Siła żywotna naszego ludu wiejskiego jest niezmierna, oto pierwszy wniosek, który wyżej podane fakty i tysiące innych każą nam uznać. Co więcej, lud nasz wiejski idzie naprzód, podnosi się w górę i udoskonala fizycznie i duchowo. Samorodny postęp włościan jest faktem najwybitniejszym, jaki zachodzi w naszem społeczeństwie, jest głównym, dodatnim jego objawem.

Kto blizko włościan żyje, a zna ich przeszłość, dla tego postęp ten jest rzeczą oczywistą. A jednak jak wielu z nas przeczy temu. Przeczą konserwatyści, upatrujący w postępie włościan falę, która ich zaleje, odrzuci na bok mniemane przewodnictwo społeczne, zastąpi stare formy nowemi. Ale, co gorsza, przeczą temu faktowi i liczni postępowcy, którzy pojmują postęp jedynie podług jednej utartej ścieżki lub formuły. Jedni twierdzą, że on polega na przenikaniu w głąb społeczeństwa idej dostępnych jego wyżynom — są to arystokraci ducha; dla nich postęp samorodny włościan jest wzmaganiem się mas ciemnych, objawem niebezpiecznym, a w każdym razie niepewnym co do skutków. Inni, pewien odłam obozu skrajnego, są również uprzedzeni co do włościan. Widzą oni lepszą przyszłość społeczeństw na drodze ewolucyi, w której postęp techniczny ma umożliwić nowe formy własności i ustroju społecznego.

Włościanie postępu ekonomicznego w kierunku tych nowych form nie okazują, to też nie oni zdaniem tych postępowców kryją w sobie prawdziwe siły do odrodzenia społeczeństwa. Uprzedzenia wobec potrzeb życia społecznego są również złowrogie, czy je powoduje egoizm zachowawczo klasowy, czy też egoizm ideowo-programowy.

Tymczasem fala się wzmaga u dołu, lud potężnieje, uświadamia się, pracuje nad sobą, ale nie towarzyszą mu w równej mierze udoskonalenia warunków życia społecznego, nie dorównywa postępowi z dołu nakład pracy, jaki ludowi oddaje inteligencya.

*Wł. Grabski.*

## KRONIKA.

**Wiadomości urzędowe.** *Prawit. Wiest.* ogłasza, iż skutkiem starań generał-gubernatora warszawskiego, i na wniosek ministra spraw wewnętrznych, komitet ministrów przedstawił do Najwyższego zatwierdzenia projekt przemianowania wsi Łapy-Barwiki, w pow. Mazowieckim gub. Łomżyńskiej, na osadę „Łapy" z postawieniem jej w gminie Poświętne i z rozciągnięciem na nią wszystkich przepisów, obowiązujących dla osad w Królestwie Polskiem. Wniosek uzyskał Najwyższe zatwierdzenie.

— Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych miasta Elizawetpol, Szusza i Nucha ogłoszone zostały w stanie obrony wzmocnionej.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wyjaśniło, iż osoby wstępujące do służby cywilnej, o ile są przypisane do gmin wiejskich lub miejskich, powinny być zwalniane osobiście od ciążących na nich zobowiązań gminnych z chwilą zaliczenia ich do służby, i że korespondencya w tej sprawie z izbami skarbowemi powinna być prowadzona przez zwierzchność wstępującego do służby urzędnika.

**Wiadomości społeczne.** W gub. Grodzieńskiej wzmogło się wychodźstwo Żydów do Ameryki.

— Zatwierdzono ustawę kijowskiego Towarzystwa urządzania mieszkań dla robotników miejskich i polepszenia warunków ich życia domowego.

— *Kawkaz* donosi, że dotychczas w posiadanie skarbu zajęto majątki i kapitały ormiańskie w 13 miastach wraz z wioskami, należącemi do klasztorów. Zaszły przytem zaburzenia i opór władzy, która była zmuszona uciekać się do pomocy wojska i użycia broni. Zajmowanie pozostałych majątków trwa dalej.

— *Izraelita* podaje następujące obliczenie: Ogólna liczba Żydów w Europie wynosi 8,526,280, mianowicie Rosya europejska (łącznie z Królestwem Polskiem) liczy 5,082,343 Żydów, Austro-Węgry 1,994,378, Niemcy 590,000, Rumunia 269,015, Wielka Brytania 179,000, Niderlandy 103,988, Francya 86,000, Turcya 82,277, Włochy 47,000, Bulgarya 28.307, Szwajcarya 12,551, Belgia 12,000 Grecya 8,350, Bośnia i Hercogowina 8,213, Serbia 5,100, Szwecya i Norwegia 5,000, Dania 5,000, Hiszpania 2,500, Gibraltar 2,000, Portugalia 1,200, Luksemburg 1,200, wyspa Kreta 728, wyspy Cypr i Malta 130. W Azyi wszystkich Żydów jest 358,682, w Palestynie 78,000, Turcyi azyatyckiej (bez Palestyny) 77.500. na Kaukazie 58,571, w Persyi 35,000, na Syberyi 34,447, w Indyach 22,000, w Arabii 20,000, w Afganistanie 18,435, w Azyi środkowej (rosyjskiej) 12,729, w Chinach i Mandżuryi 2,000. W Afryce znajduje się Żydów 368,332, rozmieszczonych jak następuje: Moroko 150,000, Algier 57,132, Abisynia 50,000, Tunis 45,000, Afryka południowa 30,000, Egipt 25,300, Tripolis 10.000. W Ameryce 1,169,886, mianowicie: w Stanach Zjednoczonych 136,240, w Kanadzie 16,432, w Argentynie 7,015, w Ameryce środkowej i Antylach 4,035, w Brazylii 2,000. w Gwinei 1250, w Meksyku 1,000 w Peru 498, w Wenezueli 411, w reszcie krajów w amerykańskich 1,000, W Australii 16,975. Ogólna zatem liczba Żydów na świecie wynosi 10,439,250."

**Z Poznańskiego.** Do Krakowa przybył włościanin polski z Bogocic na Górnym Śląsku w celu otrzymania rozgrzeszenia, którego mu odmówili dwukrotnie na spowiedzi księża niemieccy dlatego, że przy wyborach głosował za Korfantym.

— Zmarły na Śląsku pruskim adwokat Hohenhorst zapisał 700,000 marek na cele germanizacyjne.

— Artysta-malarz, Kazimierz Krzyżanowski, otrzymał nakaz policyjny, aby wraz z rodziną opuścił Poznań. Wydalony był dyrektorem miejscowego Towarzystwa sztuk pięknych, które policya uważa za instytucyę polityczną.

**Szkoły i wychowanie.** W politechnice warszawskiej wprowadzono lekcye fechtunku.

— Studenci wydziału prawnego w uniwersytecie warszawskim zostali zawiadomieni, że na mocy uchwały rady uniwersyteckiej, stopień przeciętny na egzaminach przejściowych z przedmiotów głównych wynosić ma najmniej 3½, nie, jak dotychczas, 3.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora warszawskiego okręgu naukowego, że wychowańcy szkół miejskich i powiatowych okręgu wileńskiego (w którym wyłączono z programu wykład historyi powszechnej, prowadzony w okręgu naukowym warszawskim), życzący sobie otrzymać tytuł ucznia aptekarskiego, obowiązani są składać oprócz egzaminów dodatkowych z języków: łacińskiego, jednego z nowożytnych (francuskiego lub niemieckiego) i algebry, także egzaminy z historyi powszechnej, w zakresie programu wykładowego, przepisanego dla szkół miejskich, lub powiatowych warszawskiego okręgu naukowego.

— Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych zamknięto szkołę dentystyczną Jamesa Lewi w Warszawie. Słuchaczom ostatniego kursu pozwolono przejść do szkoły Szymańskiego.

— W Wilnie otworzono kursa wieczorne dla nauki początkowej kobiet dorosłych.

— W Odesie urządzono wyższe kursu podagogiczne dla kobiet. Na otwarciu tych kursów wiceminister oświaty wypowiedział mowę, w której wyjaśnił znaczenie i ważność wykształcenia kobiet, oraz oświadczył, iż ministeryum rade jest widzieć dążenia kobiet do wyższego wykształcenia i chętnie popierać je będzie. Sprawa oświaty w Rosyi posuwa się tak szybko naprzód, że do pomocy ministeryum konieczna jest inicyatywa prywatna, głównie w swej postaci zbiorowej. Z wyżyn Tronu wezwano kobietę do działalności pedagogicznej. Dla wykonania tego ministeryum obmyśliło szereg doniosłych przedsięwzięć, jak zakładanie seminaryów nauczycielskich i innych instytucyj wyższego wykształcenia dla kobiet. (*Ruskoje Słowo*).

— W Ekaterynosławiu otwarte zostały bezpłatne kursa wieczorne dla robotników kolejowych.

— Przy uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie otworzono klinikę dentystyczną.

— D. 11 b. m. odbyło się w Leszczynach, na pograniczu Śląska pruskiego, uroczyste otwarcie trzyklasowej szkoły polskiej.

— Rusini otwierają w Przemyślu liceum żeńskie, oraz prywatne seminaryum żeńskie we Lwowie. Nadto agitują za założeniem gimnazyum rusińskiego w Stanisławowie.

— Urząd emigracyjny w Transwalu żąda od Żydów europejskich umiejętności pisania w żargonie literami łacińskiemi lub gotyckiemi. Dotychczas uważano ich za analfabetów, a żargon za jeden z języków europejskich.

**Wadomości naukowe.** W Akademii nauk w Petersburgu nagrodę (500 rb.) im. hr. Uwarowa przyznano p. M. Lubawskiemu za dzieło „Sejm litewsko-ruski."

**Literatura i prasa.** W Londynie wychodzić będzie dziennik dla kobiet p. t. *The Daily Mirror*, który oprócz wiadomości ogólnych, codziennych, zamieszczać ma wszystko, czem się kobiety interesują.

**Ze sztuki.** Akademia sztuk pięknych i Towarzystwo drukarskie zwróciły się do ministra skarbu o skasowanie artykułu nowej ustawy celnej, który uwalnia od cła oleodruki, sztychy, litografie i rysunki, o ile je wykonano za granicą z oryginałów, malowanych lub rysowanych przez poddanych rosyjskich.

— P. Emilia Blochowa, spełniając życzenie zmarłego męża złożyła w darze Towarzystwu sztuk pięknych kolekcyę przeszło 1,000 sztuk, oryginalnych prac artystów obcych szkół: włoskiej (głównie renesans włoski), flamandzkiej, holenderskiej, francuskiej, niemieckiej, angielskiej i hiszpańskiej.

**Zdrowie publiczne.** Z wiadomości dostarczonych generał-gubernatorowi warszawskiemu przez naczelników powiatów, co do liczby chorych umysłowo i epileptyków, dowiadujemy się, że w gub. Warszawskiej znajduje się 520 osób nieuleczalnych. Ponieważ w Tworkach niema dla nich miejsca, przeto ci nieszczęśliwi przetrzymywani są w aresztach policyjnych, a częstokroć wiązani sznurami lub przykuwani łańcuchami do słupów w stajniach lub chlewach. W celu zapobieżenia niegodziwemu obchodzeniu się z tego rodzaju chorymi, na wiosnę roku przyszłego otworzony będzie odpowiedni dla nich przytułek powiatowy

w Łowiczu, w zabudowaniach zamkniętego przed dwoma laty klasztoru Bernardynek.

— We wszystkich dzielnicach Warszawy szerzy się tyfus brzuszny, którego przyczynę *Kronika lekarska* upatruje w nieprawidłowem działaniu wodociągów, czemu znowu przeczą badania bakteryologiczne wody wiślanej.

— Jeden z lekarzy weterynaryi dokonał badania sprzedawanej w aptekach wody destylowanej. Brał on próbę wody w 12 aptekach, przyczem okazało się, iż w jednej tylko woda pozbawiona była mikrobów, w pozostałych zaś 11 aptekach w większym lub mniejszym stopniu zanieczyszczona mikrobami. (*Wiek*). Dlaczego ukrywać nazwisko tego aptekarza, który ma wodę czystą?

**Sprawy ekonomiczne.** Na konkursie gospodarstw wiejskich, ogłoszonym przez kieleckie Tow. rolnicze, przyznano cztery nagrody od 10—50 rb. włościanom z pow. Miechowskiego.

— Według sprawozdań tutejszych zarządów akcyzy, ludność Warszawy, która wynosiła w roku 1901 — 682,600 dusz, zużyła w ciągu roku sprawozdawczego wódki 40% 57,124 wiader, wódki 57% 439,745 wiader i wódki różnej mocy 254,826 w.; wogóle Warszawa skonsumowała w 1901 r. 751,698 wiader wódki na na ogólną sumę 5,789,700 rb. Gubernia Warszawska wraz z Warszawą (2,097,865 ludności) skonsumowała wódki 1,269,995 wiader na sumę 9,766,927 rb.; gub. Kaliska (926,002 ludności) — 344,317 wiader za 2,655,226 rb.; gub. Kielecka (849,359 mieszkańców) — 212,539 wiader za 1,630,122 rb.; gub. Łomżyńska (625,956 mieszkańców) — 138,806 w. za 1,034,776 rb.; gub. Lubelska (1,269,519 mieszkańców) — 377,299 w. za 2,895,044 rb.; gub. Piotrkowska (1,558,615 mieszkańców) — 851,199 w. za 6,548,682 rb.; gub. Płocka (604,696 mieszkańców) — 118,837 w. za 917,454 rb.; gub. Radomska (908,274 mieszkańców) — 257,822 w. zo 1,977,628 rb.; gub. Suwalska (634,785 mieszkańcow) — 211,772 w. za 1,633,487 rb. i gub. Siedlecka (843,593 miesz.) — 193,322 w. za 1,482,519 rb. Wogóle Królestwo Polskie w roku 1901 przy ludności 10,318,663 dusz skonsumowało 3,970,934 wiader wódki za sumę 30,541,865 rb. W roku sprawozdawczym zauważono zmniejszenie użycia wódki, ponieważ przeciętna norma na mieszkańca Królestwa w 1900 r. wynosiła 0,42 wiadra, w roku zaś 1901 spadła na 0,38. Ilość zużytej wódki nie uległa zmianie w gub. Łomżyńskiej, a podnosi się zimą w gub. Siedleckiej; w pozostałych zaś 8 guberniach zmniejsza się corocznie. Zdaniem tutejszych zarządów akcyzy, zmiejszenie konsumcyi wódki zostało wywołane w 1901 r. ogólnem przesileniem przemysłowem, oraz złym urodzajem.

**Koleje i komunikacye.** Zabroniono usuwania podróżnych z pociągów na stacyach: Bednary, Główno, Stryków, Łask, Kociołki i Opatówek kolei Warszawsko-Kaliskiej.

— Połączono telefonem Wrocław z Kolonią, Dortmundem, Düseldorfem i Essen, przez Berlin. Linia telefoniczna z Wrocławia do Kolonii ma 1,000 kilometrów długości.

— W roku przyszłym przeprowadzony będzie telefon z Petersburga przez Wilno do Ejdkun, skąd istnieje już połączenie telefoniczne z Berlinem.

— Od d. 14 listopada kolej Syberyjska włączona została do związku bezpośredniej komunikacyi kaukasko-zakaspijskiej.

— Pomiędzy portem niemieckim Warnemünde a portem duńskim Gedse otwarta została komunikacya kolejowa zapomocą wielkich promów, na które wjeżdżają całe pociągi. Tym sposobem bez wysiadania z pociągu dostać się można z Niemiec do Chrystyanii lub Sztokholmu.

— Na ostatniej, międzynarodowej konferencyi przedstawicieli kolei w Wiedniu, w sprawie zaprowadzenia bezpośredniej komunikacyi osobowej pomiędzy stolicami europejskiemi i portami: belgijskimi, francuskimi i angielskimi, a Chinami i Japonią, przez Syberyę i Mandżuryę, lub odwrotnie, przyjęto i podpisano warunki konwencyi, wypracowane przez biuro międzynarodowych komunikacyj kolei rosyjskich, przyczem uchwalono wydawanie w tej komunikacyi po dwie książeczki, z których jedna, zaopatrzona w odpowiednią ilość kuponów, daje prawo przejazdu, a druga zapewnia miejsce w wagonach sypialnym i restauracyjnym. Na wniosek przedstawiciela kolei austryackiej (północnej), różnorodne przepisy, dotyczące odszkodowania za bagaż zaginiony, uproszczone zostały w ten sposób, że norma odszkodowania na kolejach rosyjskich (7 rb. 30 kop. dla podróżnych I klasy, 4 rb. 88 kop. dla podróżnych II klasy i 2 rb. 44 kop. dla jadących III klasą) obowiązywać ma (z wyjątkiem kolei angielskich) wszystkie koleje kontynentu.

**Klęski żywiołowe.** We wsi Jarłuby, pow. Ciechanowski, spaliły się 22 budynki; ogień wzniecily dzieci, pozostawione bez opieki. We wsi Raczkowiec, pow. Radomski pożar zniszczył 27 domów mieszkalnych 19 stajen i 11 stodół, napełnionych zbożem; inwentarza żywego i ruchomości spaliło się na sumę 7,000 rb.

**Katastrofy.** Z Montewideo donoszą, że skutkiem wybuchu prochu zatonęła łódź działowa „Generał Riviera“ wraz z większą częścią załogi.

— W ubiegłym sezonie letnim podczas wycieczek turystycznych w Alpach zdarzyło się 148 wypadków, w których straciło życie 136 osób.

**Zmarli.** Andrzej Wolff, kandydat praw.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Panu Damianowi P.* Wierszy „W polu“ drukować nie będziemy.

*Pani Maryi Żeligowskiej w Turyńskich Rudnikach.* Z nadesłanego nam tłomaczenia „Walka o narodowość“ korzystać nie będziemy.

*Panu Józefowi Sławira.* Nie wydrukujemy.

*Nadnieprzaninowi.* Nie dla nas.

*Panu J. M.* Wiersz kuligowy — nie do druku.

*Panu Staniszewskiemu w Suwałkach.* Artykuł wydrukujemy w następnym numerze.




**Redaktor i Wydawca A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Октября 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.